Dziś w numerze: Gruźlica w defensywie • Balans na włosku • Trudne edukacje • Każdy ma swoją drogę do śmierci • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 7 (369)
20. II. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. Zdzisław Wdowiński

JAN KOPROWSKI

ROZMOWA Z CZYTELNIKAMI

Przed wojną, w czasie studiów, lubiłem chodzić na wykłady profesora Władysława Witwickiego, znakomitego psychologa i świetnego tłumacza oraz komentatora Platona. Pamiętam, że prof. Witwicki, który zajmował się psychoanalizą i psychologią snu, z upodobaniem przeprowadzał wśród studentów rozmaite ankiety, potrzebne do jego badań. Któregoś dnia w czasie wykładu zwrócił się do nas z pytaniem: „Kto zasypia, mając nogi wyciągnięte, proszę podnieść palce do góry!" Profesor policzył wzniesione ręce, wpisał głosy do notesu, po czym zadał pytanie następne: „A kto z was zasypia, mając nogi podkulone pod siebie?" Znowu wyciągnęło się kilka rąk, znowu profesor policzył je i zanotował. „A pan — profesor zwrócił się do studenta, który siedział w pierwszym rzędzie — dlaczego pan nie podniósł ręki ani w pierwszym, ani w drugim przypadku?" Student wstał i powiedział, cedząc słowo po słowie: „Ja, panie profesorze, zasypiam bardzo dziwnie, mianowicie jedną nogę mam wyciągniętą, a drugą podkuloną". Student usiadł, a my w śmiech. Profesor Witwicki śmiał się również na cały głos.

Zdarzenie, które przypominam, było mimowolną (a może właśnie zamierzoną) kpiną ze schematyzmu ankietowego. Bowiem żadna, nawet najlepiej opracowana ankieta, nie obejmie i nie przewidzi wszelkich możliwych wariantów i sytuacji. Ponieważ jednak żyjemy w epoce ciągłego ankietowania, redakcja „Odgłosów" również zainicjowała coś podobnego. W ostatnim ubiegłorocznym numerze „Odgłosów" ogłosiliśmy ankietę, zawierającą szereg pytań i skierowaną do naszych czytelników. W tej chwili dysponujemy już dostateczną ilością odpowiedzi, aby moc zastanowić się nad jej wynikami, pamiętając, rzecz jasna, o tym, że żadna ankieta ani nie wyczerpie sprawy, ani nie przyniesie materiału, zezwalającego na formułowanie ostatecznych prawd i osądów.

Więc przede wszystkim: Kto czyta „Odgłosy?" Ludzie z jakich środowisk i w jakim wieku? 60 proc. odpowiadających na ankietę to inteligencja pracująca, w przeważającej większości z wykształceniem średnim. Dalej idą robotnicy, młodzież starszych klas licealnych i studenci. Jeśli chodzi o wiek, największa ilość odpowiadających, to ludzie pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Oczywiście są i młodsi i starsi, ale ci nie stanowią zdecydowanej większości. Ogólnie rzecz biorąc czytelnikami naszymi są ludzie młodzi oraz tzw. w sile wieku. Jest to zjawisko ze wszech miar pocieszające. A teraz: czego czytelnicy szukają w „Odgłosach"? Co im się podoba, do jakich działów przyzwyczaili się, a czego nie lubią lub nie chcą czytać? Otóż na pierwszym miejscu ankietowani czytelnicy stawiają publicystykę, a więc artykuły, wypowiedzi i wywiady na tematy społeczne i obyczajowe, z dziedziny polityki krajowej i zagranicznej. Natomiast na ostatnim miejscu znalazła się ekonomia. Czytelnicy nie precyzują bliżej, co mają na myśli, pisząc „ekonomia", możemy jednak przypuszczać, że chodzi im o artykuły teoretyczne, naszpikowane cyframi, nie odwołujące się do konkretnych zdarzeń i faktów. Tuż za publicystyką wymieniają nasi czytelnicy film, nowelę kryminalną, reportaż, felieton, teatr. Trochę dalej — telewizja (o dziwo!), potem opowiadania pisarzy polskich, recenzje książkowe, fragmenty powieści, przekłady z języków obcych. Na przedostatnim miejscu (tuż przed ekonomią) plasuje się w opinii czytelników poezja współczesna. Czytelnicy nie lubią współczesnych wierszy, a jeśli dopominają się o poezję (patrz niektóre głosy czytelników, drukowane na str. 8) to mają na myśli głównie i przede wszystkim utwory klasyków. Tu od razu trzeba wyjaśnić rzecz następującą: pismo o charakterze społeczno-kulturalnym ma za zadanie zajmować się problematyką współczesną, poruszać sprawy i zagadnienia, związane z życiem pokoleń dzisiejszych. Rozważania o charakterze historycznym pismo podejmuje okazjonalnie (rocznice) lub wtedy, gdy historia w sposób widoczny koresponduje z teraźniejszością. Będziemy więc drukować wiersze i opowiadania współczesnych pisarzy, mając nadzieję, że nawet do trudnych tekstów czytelnicy odnajdą drogę. Będziemy publikować reportaże i artykuły publicystyczne na tematy społeczne i obyczajowe, bo czytelnik ciekaw jest życia i przemian, jakie niesie z sobą nasza epoka. Nie zapomnimy o sprawach filmu (Łódź jest przecież poważnym ośrodkiem produkcji filmowej) i teatru, o sprawach telewizji, plastyki i literatury.

Jesteśmy wdzięczni naszym czytelnikom za nadesłane nam uwagi. Weźmiemy je sobie do serca, bo przecież i nam i Wam, Drodzy Czytelnicy, chodzi o to, by „Odgłosy" były co raz lepsze.

Co zdarzyło się Andrzejowi S.?

Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że znajdę się w Tworkach, pomyślałbym: mam do czynienia z kiepskim wariatem. Uchodziłem i co może ważniejsze, uważałem się za człowieka niezwykle zrównoważonego, opanowanego, bez „rozdartej duszy", nie cierpiącego na „chandrę unyńską", zadowolonego z życia, bez tak modnych kompleksów — jednym słowem okaz zdrowia psychicznego. Niektóre kobiety powiadały nawet, że jestem za normalny i przez to jestem mniej ciekawy...

A jednak pewnego dnia zaczęło mnie swędzić. Wszystko. Całe ciało. Zdaje sobie sprawę, że brzmi to śmiesznie, bo jak powiada przekrojowy Fafik: każdego gdzieś tam swędzi, ale gentleman się nie drapie. Widocznie jednak nie jestem gentlemanem, bo nie tylko się drapałem, ale najchętniej darłbym ze swojej skóry pasy.

Jeśli człowieka swędzi skóra, najpierw się kąpie, a jeśli nie pomaga udaje się do lekarza. Dermatolog, do którego się zwróciłem stropił się wielce moją dziwną chorobą: swędzi, a na skórze nic nie ma, żadnej wysypki ani krosteczki, po czym jednak zawyrokował: ani chybi świerzb. Gdy oponowałem, że świerzbowiec pozostawia charakterystyczne ślady między palcami ręki, wytłumaczył mi: „wie pan u ludzi kulturalnych, którzy kąpią się często, może występować taki świerzb zakonspirowany. Przez trzy dni będzie się pan od stóp do

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Leżące na pół drogi między Azją i Ameryką Północną Hawaje i ich stolica Honolulu już niejednokrotnie były miejscem nagłych spotkań przywódców Stanów Zjednoczonych z politykami innych krajów. Tym razem Johnson – w sposób nieoczekiwany dla komentatorów – zapragnął spotkać się z przywódcami sajgońskimi. Żeby posłużyć się słowami wspólnego komunikatu, odbyły się tam „3-dniowe pogłębione i bardzo przyjazne rozmowy", które zakończyły się „fundamentalnym porozumieniem co do celów i polityki". To porozumienie zawarte jest w końcowej deklaracji, która mówi o celach rządu południowowietnamskiego i amerykańskiego oraz o wspólnych zobowiązaniach.

Jaki jest tenor tej deklaracji? — Będziemy nasilać wojnę i jednocześnie „poszukiwać pokoju", będziemy intensyfikować działania i jednocześnie realizować reformy ekonomiczno-socjalne...

Nie ma więc w deklaracji żadnych nowości, poza bodaj pewnym usztywnieniem stanowiska w sprawie udziału przedstawicieli Frontu Wyzwolenia Narodowego w ewentualnych rokowaniach i położeniu większego nacisku na konieczność pewnej rekonstrukcji w Wietnamie Płd.

Deklaracja zapowiada dalsze powiększenie liczebności wojsk amerykańskich w Wietnamie, które — co za pobożne życzenia! — stopniowo wypierać mają oddziały partyzanckie, „oczyszczać" teren i w ten sposób rozszerzać wpływy reżimu sajgońskiego.

Równocześnie prowadzona ma być wspomniana akcja ekonomiczno-socjalna, połączona z „demokratyzacją" życia politycznego na południu Wietnamu (!?)

Plan „dwukierunkowego" działania jest właściwie przyznaniem się, że czysto militarne środki zdecydowanie zawiodły, a tzw. rząd sajgoński nie ma poparcia większej części społeczeństwa.

Tuż po konferencji w Honolulu wiceprezydent Humphrey otrzymał polecenie udania się do Wietnamu Południowego, a następnie: Syjamu, Laosu, Pakistanu, Indii, Australii i Nowej Zelandii, a prawdopodobnie i Japonii — ponoć z misją „wyjaśnienia" deklaracji.

Co tu jednak wyjaśniać? Sprawa jest przecież oczywista: Johnson brnie dalej i dalej, a że wielu ma przeciwników swoją „eskalację" okrasza „programem reform" i mówieniem o pokoju.

Tygodnik „U.S. News and World Raport" zauważa w związku z tym cynicznie: „Rozmowy o pokoju w czasie wojny przyczyniają się do uspokojenia nerwów wyborców..."

Czy naprawdę? Czy tak trudno rozszyfrować johnsonowską obłudę i prawdziwe intencje?

Z Honolulu przenieśmy się do Paryża, gdzie właśnie zakończyło się szóste w kolejności spotkanie de Gaulle'a z Erhardem. W prasie zachodnioniemieckiej w związku z paryską wizytą kanclerza NRF potrąca się optymistyczne struny. Więcej powściągliwości okazuje natomiast prasa francuska.

„Figaro" np. pisze wręcz: „Rozbieżności w dalszym ciągu są zbyt poważne, aby można było nie obawiać się, że z chwilą gdy każdy wróci do siebie, nie odrodzą się demony nieufności i niezgody. Tym razem milczały, lecz kto odważyłby się powiedzieć, że milczeć będą zawsze?".

Paryską podróż Erharda można określić jako zwiad przed zapowiedzianym wyjazdem gen. de Gaulle'a do Moskwy. Zwiad i ostrzeżenie przed jakimikolwiek koncesjami w sprawie niemieckiej. Innymi słowy kanclerz NRF miał podobno namawiać prezydenta Francji, by w rozmowach z przywódcami radzieckimi reprezentował boński punkt widzenia.

I w tym właśnie punkcie misja nie powiodła się. De Gaulle nie zbyt musiał sobie wziąć do serca namowy Erharda, skoro na temat zjednoczenia powiedział tylko, iż powinno się ono dokonać „kiedyś" i „pokojowo", a inne najbardziej interesujące NRF sprawy: granicy na Odrze i Nysie oraz udziału w broni nuklearnej były z rozmów wykluczone, ponieważ w stanowisku Francji nie nastąpiły żadne zmiany.

Skąd więc powód do optymizmu? Jest on budowany tylko na „poprawie atmosfery", „trzeźwym i rzeczowym bilansie stanowisk", „umiejętnym umieszczeniu w nawiasach dzielących trudności"; żeby zacytować kilka określeń z prasy zachodnioniemieckiej. Przyznacie, Czytelnicy, że to zbyt mało, by bić w triumfalne tony.

Erhardowi widać było to jednak potrzebne. I trudno nie skojarzyć owego „optymizmu", z wiadomością, która tuż po rozmowach paryskich obiegła większość gazet światowych, a z której wynika, że Erhard zdecydował się kandydować na stanowisko przywódcy CDU. (Po Adenauerze, który — jak wiadomo — w niedalekim czasie ustępuje).

Wiadomość ta bez przesady zelektryzowała Bonn. Doniesienia z Niemiec zachodnich mówią o otwartym pojedynku między Erhardem i Barzelem, (gremia partyjne dają lekką przewagę pierwszemu) o stanie wewnętrznej wojny w partii chadeckiej, kategorycznym „nie" Adenauera, który gotowy jest zrobić wszystko, byle tylko po raz drugi nie przekazywać swej spuścizny Erhardowi.

I właśnie rzekome „zbliżenie francusko-niemieckie" ma pomóc kanclerzowi NRF w uzyskaniu poparcia także ze strony tych grup CDU, które zawsze opowiadały się za ścisłą współpracą z Paryżem.

Pojedynek jest interesujący i może mieć znaczne polityczne następstwa. SPD nie wyklucza nawet — w wypadku niepowodzenia Erharda w ubieganiu się o stanowisko przewodniczącego partii — ustąpienia z fotela kanclerza. Nie sądzimy, by sprawa przybrała aż taki obrót, ale poobserwować warto.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ **Przedmiotem ataku teoretycznego pisma KPCh, Hongqui, stały się dwie książki opublikowane w ZSRR w 1965 roku: „Siły napędowe polityki zagranicznej USA" oraz „ZSRR i USA, ich polityczne i gospodarcze stosunki wzajemne". Pismo zarzuca książkom rozróżnianie wśród amerykańskich kół rządzących ludzi o tendencjach umiarkowanych, zwolenników pokojowego współistnienia i, z drugiej strony, głosicieli i realizatorów agresji. Zdaniem miesięcznika, takim rozróżnieniem objęto 4 ostatnich prezydentów USA, podczas gdy — pisze Hongqui — wszyscy imperialiści są jednakowymi wrogami.**

■ Niemałe musiało być zdziwienie szeryfa jednego z miast kalifornijskich, kiedy w jego ręce dostała się ulotka, wydana przez organizację „Towarzystwo Demonstrantów". Nie mniej osobliwa była treść ulotki. „Wasze miasto posiada możliwość wywołania zamieszek na tle spraw zawodowych. Przygotujcie swoje hasła, demonstrację zajmiemy się sami. Postscriptum: Spontaniczność demonstracji gwarantujemy, pod warunkiem, że obstalunek zostanie złożony nie później, niż na 90 dni przed wyznaczoną datą".

■ **Były doradca naukowy prezydenta Kennedy'ego, Jerome Wiesner, wyraził pogląd, iż nie istnieje możliwość, przy współczesnych środkach prowadzenia wojny, skutecznego zabezpieczenia ludności jakiegokolwiek terytorium. Od czasu ostatniej wojny — pisze Wiesner — militarna siła Ameryki wzrastała nieustannie i — równolegle — jeszcze szybciej malało bezpieczeństwo narodowe USA. Nie ma naukowego rozwiązania dylematu rosnącej potęgi militarnej i malejącego bezpieczeństwa. Jedyne rozwiązanie polega na rozbrojeniu, uzyskiwanym stopniowo, mimo wiążących się z tym trudności.**

■ W witrynie jednego z londyńskich magazynów handlowych z wagami, wywieszono napis: „Jeśli zakupiona przez was waga okaże się kiedyś niesprawna, zaleca się ją kopnąć kilka razy nogą. Co prawda, wadze to nie pomoże, jednak na sercu będzie wam lżej".

■ **W Paryżu zakończyły się konsultacje francusko — niemieckie z udziałem prezydenta de Gaulle'a i kanclerza Erharda. Utrzymuje się, że klimat między Paryżem a Bonn uległ, w wyniku tych rozmów, wyraźnemu polepszeniu, chociaż Erhard nie uzyskał żadnych konkretnych politycznych rezultatów.**

Siadaj Ludwiku, nuty już przygotowałem
(Die Zeit)

■ **Senator amerykański Wayne Morse charakteryzując stosunki łączące kraje Ameryki Łacińskiej z ich potężnym sąsiadem z Północy stwierdził, iż głośno reklamowana polityka dobrego sąsiedztwa przebrała się w politykę interwencji ze strony Stanów Zjednoczonych. „Radioaktywny opad na półkuli zachodniej — powiedział senator — następstwo interwencji dominikańskiej — przez długie lata stanowić będzie brzemię dla USA."**

■ **Prezydent ZRA Naser określił jako śmieszne lansowane na zachodzie opinie o rzekomym „zwrocie na prawo" Egiptu i zarzuceniu zasad socjalistycznej przebudowy społeczeństwa.**

■ Grecka wyspa Kos, znana była z tego, że w epoce Imperium Rzymskiego, co znamienitsze damy spacerowały tu w przezroczystych szatach. Niedawno sprytni geszefciarze nie wahając się eksploatować historię, postanowili utworzyć na wyspie obóz „miłośników starego zwyczaju".

■ **Na 78 uczelniach rolniczych Związku Radzieckiego powstaną wydziały dokształcania kadr kierowniczych w kołchozach i sowchozach. Zadaniem nowo utworzonych wydziałów będzie zwiększenie zasobu wiedzy słuchaczy w dziedzinie technologii produkcji artykułów rolnych, chemizacji, melioracji i organizacji rolnictwa.**

■ **Dwaj deputowani do Kongresu kolumbijskiego wnieśli interpelację skierowaną do rządu w sprawie ankiety społecznej przeprowadzonej na terenie Kolumbii pod auspicjami Pentagonu. W interpelacji stwierdza się, iż wspomniana ankieta stanowi pogwałcenie suwerenności Kolumbii, a celem jej jest „ustalenie rozmiarów niezadowolenia, panującego w niektórych regionach półkuli zachodniej, by umożliwić armii amerykańskiej podjęcie szybkiej kontrakcji w razie wybuchu powstań, zagrażających wpływom północnoamerykańskim.**

■ Powinien pan podstrzyc włosy — rzekł reżyser do amerykańskiego aktora George Hamiltona, kreującego rolę żołnierza w jednym z angielskich filmów. Hamilton wypełnił życzenie reżysera, wzywając z Los Angeles do Londynu swego fryzjera. Podróż mistrza nożyc z USA do Anglii i z powrotem kosztowała 1.273 dolary i 86 centów.

(Time)

■ **Nawiązując do toczących się w Tiranie rozmów handlowych albańsko — jugosłowiańskich, agencja AFP wyraża pogląd, iż Albania podejmuje wysiłki w kierunku zbliżenia do europejskich krajów socjalistycznych.**

■ **„Neues Oesterreich" donosi z Sajgonu, iż w związku z planami Amerykanów nasilenia działań wojennych w rejonie półwyspu Indochińskiego, „już dziś w Sajgonie określenie „mała taktyczna broń atomowa" należy do głównych argumentów w rozmowach na temat przyszłego rozwoju wypadków".**

■ W czasie posiedzenia komisji spraw zagranicznych Senatu USA, na którym omawiana była nominacja na stanowisko podsekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej, przewodniczący komisji, Fulbright, zwrócił się z retorycznym pytaniem do desygnowanego na to stanowisko, Gordona. Orientuje się pan, ilu ludzi zmieniło się na tym stanowisku w ciągu ubiegłych pięciu i pół lat? — Pięciu — powiedział senator, dodając: wszystko wskazuje, że jest to raczej niebezpieczne stanowisko.

■ **W 75 rocznicę urodzin Ilji Erenburga w słowackim tygodniku „Kulturni Zivot" ukazał się szereg artykułów poświęconych sylwetce i twórczości wielkiego pisarza. Ladislav Novemeski przypomina między innymi, iż w 1951 roku słowaccy pisarze i działacze kulturalni wystąpili z wnioskiem o nadanie Erenburgowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Bratysławskiego. Do przyznania doktoratu jednak nie doszło, gdyż w tym właśnie roku nad szeregiem wybitnych pisarzy słowackich — przyjaciół Erenburga, zawisły ciężkie chmury. — Oskarżono ich o odchylenie burżuazyjno — nacjonalistyczne i skazano.**

Zaufanie do samego siebie i ciekawość oto, co jest potrzebne do pracy twórczej.

FEDERICO FELLINI

Mężczyźni byliby o wiele bardziej skłonni do wyznań, gdyby zdawali sobie sprawę, ile o nich wiedzą kobiety.

FRANK SINATRA

■ Zachodnioniemiecki ambasador w Izraelu, Rolf Paulus, pragnął usunąć się z oczu opinii publicznej w Tel Avivie, w czym nie kwapili się pomóc mu jego szefowie w Bonn. Ponieważ przeszłość pana Paulusa (w czasie drugiej wojny światowej służył w Wehrmachcie) drażniła protestujących przeciw tej nominacji Izraelczyków, zdecydował wynająć małą, nie rzucającą się w oczy willę na swą oficjalną rezydencję. W Bonn zdecydowano wówczas, iż willa nie jest dostatecznie reprezentacyjna, przeznaczając 400 tysięcy dolarów na wynajem bardziej okazałego budynku.

O ZASTOSOWANIU MYDŁA

Szerokie zastosowanie mydła nie budzi dzisiaj wątpliwości nawet u ludzi bardzo konserwatywnych. Krok po kroku mydło toruje sobie drogę do coraz to nowych dziedzin życia.

Człowiek, który mówi z zachwytem: święte słowa, kochanego pana dyrektora; od lat czekaliśmy na te słowa, towarzyszu sekretarzu; pan mi to z ust wyrwał, obywatelu kierowniku resortowy — dowodzi zastosowania mydła w życiu społeczno-towarzyskim. Od szeregu lat mydło robi karierę w literaturze. Może jakiś przykład:

Miłość i trud, i chleb i pokój —
Orędzie w radość walki ludom.
Treść pragnień w wolę zwycięstw okuj
Konstrukcje piętrz! I buduj! buduj.

Mydło zastępuje tu poezję, ale nie tylko, zastępuje także miłość i chleb, orędzie, treść pragnień, a równocześnie buduje. Mydło w literaturze warte jest osobnego studium, niestety, wciąż jeszcze nie napisanego. Pewne zasługi na polu badania wszechstronnej roli mydła w literaturze położył Marian Piechal w swoim znakomitym, acz początkowym dopiero i niepełnym studium pod tytułem „Pisarze łódzcy w hołdzie mydłu", napisanym z okazji 500-lecia wynalezienia mydła. Chyląc głowę przed pracowitością naszego prezesa i niestrudzonego badacza, musimy wszakże dodać, że całe dziedziny mydłologii stoją otworem. Dziewicza puszcza — można powiedzieć.

Mydło zastępuje np. znajomość języków obcych. Kiedyś, za nieboszczki sanacji pisano: „ha! ha! — zaśmiał się hrabia po francusku" i to już wystarczało, człowiek czuł się paryżaninem, dziś, w związku z postępem, likwidacją analfabetyzmu, w dobie kursów językowych radiowych, telewizyjnych, tewupeowskich, korespondencyjnych, płytowych i przyzakładowych, mydło występuje w postaci znacznie bardziej wyrafinowanej. Oto typowy tekst, do którego użyto mydła o stu zapachach:

„Dopiero gdy „Żermena" podniosła ankier pomyślałem o mojej anima villis. Kim jest człowiek? Animistą, czy interakcjonistą? Zaglądam w swoje intérieur. Po intensywnej, męczącej anizogamii z Guleborgą nastąpiło katarsis, jestem przecież egzogamistą. Więc kim jestem? Komensalistą, ponieważ zjadam resztki po innych kulturach, a może paneuropejskim paralogistą?".

Jak państwo widzą mydło zastępuje tutaj szereg języków, a także i kilka filozofii, kto się da namydlić takim tekstem bywa z reguły oblatany w nowoczesnym świecie i może currente calamo imponować zarówno głębią przeżyć, jak i znajomością języków obcych.

No, a mydło w publicystyce, retoryce i statystyce?

A propos statystyki. Właśnie niedawno Zjednoczenie Przemysłu Chemii Gospodarczej ogłosiło dane o zużyciu mydła, ale nie przez piszących, lecz myjących się, piorących i golących się, a także perfumujących się i nacierających kremami. I tu widać postęp, chociaż nie taki jak w literaturze, publicystyce i retoryce stosowanej. Za sanacji, w roku 1937 wyzyskiwany obywatel naszego kraju zużywał tylko 1,4 kg środków piorących na rok, obecnie, to znaczy w roku 1964 — 6,3 kilograma. No, ale mimo wzrostu Zjednoczenie dodaje, że jest to wzrost „niewystarczający w stosunku do kraju o najwyższym poziomie spożycia". Jeżeli chodzi o miasto Łódź i województwo, to sytuacja nie wygląda najlepiej. Wprawdzie badania Piechala wykazały poważny udział mydła w życiu twórczym ludzi pióra i języka, to jednak zwykli śmiertelnicy wyraźnie nie nadążają. Łódź i województwo plasują się z reguły między 13 a 16 miejscem jeżeli chodzi o zużycie mydła w kawałkach, mydła toaletowego, środków piorących, a także mydeł do golenia i kosmetyków. W roku 1964 obywatel województwa warszawskiego wydawał na te cele 57,95 złotego, a łódzkiego tylko 32,46 złotego. Gdyby uwzględnić mydło spożywane przez literaturę, proporcja zmieni się jeszcze bardziej na niekorzyść naszego województwa, a to ze względu na wielką liczbę pisarzy, publicystów i mówców, skupionych w stolicy, z których pewna część posługuje się mydłem jako środkiem wyrazu artystycznego.

Nasza sytuacja może się poprawić, jeżeli rozstrzygniemy pewien poważny problem. Zjednocze nie pisze w swoim Biuletynie: „...stwierdzenie, czy szampony, kremy do golenia i inne są kosmetykami, czy też środkami myjącymi, jest rzeczą co najmniej dyskusyjną". Poczekajmy, aż się dyskusja skończy. No, bo jeżeli są, to gorzej dla nas, a jeżeli nie są, to gorzej dla stolicy, która zużywa dużo mydła do golenia, kremów i szamponów. Gdyby jej to odliczyć z puli środków myjących, to nasza sytuacja znacznie by się poprawiła. Ale to nic jeszcze pewnego, dyskusja trwa, poczekajmy cierpliwie.

Wiesław Jaworski

ZOFIA TARNOWSKA

GRUŹLICA W DEFENSYWIE

Gruźlica jest obecnie chorobą całkowicie uleczalną. Prawdę tę powtarzają lekarze — ftyzjatrzy od kilku lat Medycyna dysponuje środkami, które bez względu na wiek chorego są w stanie w wypadku świeżych zmian — zlikwidować je. Głoszona wszem i wobec prawda o skuteczności leczenia groźnej społecznie choroby nie znajduje jednak pokrycia w praktyce. Rokrocznie pojawiają się w tradycyjnych dniach przeciwgruźliczych hasła mobilizujące społeczeństwo i lecznictwo do intensywnej walki z gruźlicą, która w ujęciu statystycznych wskaźników nie wykazuje wyraźnych tendencji kapitulacji. Teoretycznie opanowana — praktycznie jest jeszcze epidemiologiczną groźbą.

Gruźlica znana jest ludności od najdawniejszych czasów. Opisy przebiegu choroby oraz jej leczenia znane były w starożytności, a Hipokrates miał już w tym zakresie głęboką wiedzę. Przyczyny choroby były przez długi czas nie znane. W 1882 r. R. Koch odkrył prątki gruźlicy. Od tej chwili datują się szybkie postępy wiedzy o istocie, przebiegu i leczeniu choroby.

Prof. dr Marian Zierski, kierownik kliniki ftyzjatrycznej Studium Doskonalenia Lekarzy w Łodzi, konsultant krajowy dla spraw otwartego lecznictwa przeciwgruźliczego, przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Gruźlicy i ekspert Komitetu Leczenia Międzynarodowej Unii Przeciwgruźliczej stwierdza, że obecnie znajdujemy się w okresie pełnej mobilizacji do walki z gruźlicą i możemy spodziewać się w najbliższych latach wyraźnego spadku zachorowań.

A zatem można mówić o przełomie, który polega głównie na tym, że wiadomo jakimi drogami iść do celu. Jedna z tych dróg to koncentracja uwagi i wysiłków na środowiskach rozsiewających gruźlicę.

Wskaźnik chorobowości krajów demokracji ludowej na 10.000 mieszkańców w 1962 r.

Bułgaria	**— 63**
Czechosłowacja	**— 80**
NRD	**— 90**
Rumunia	**— 91**
Węgry	**— 120**
Polska	**— 221,5**

W Łodzi gruźlica jest jednym z najpoważniejszych problemów zdrowotnych. Należymy do miast, które legitymują się najwyższym wskaźnikiem chorobowości — 386,6 na 10 tysięcy ludności. Być może, że weryfikacja statystyki zmieni ten obraz. Dawny wskaźnik obejmował łącznie wszystkie przypadki gruźlicy czynnej wraz z nieczynną, wyleczoną a pozostającą jeszcze w ewidencji poradni. Obecnie Międzynarodowa Unia Przeciwgruźlicza Światowej Organizacji Zdrowia uznała za konieczne weryfikację kartotek i ustalenie jednego kryterium — wskaźników dotyczących gruźlicy prątkującej.

Rok	Ogólna liczba zarejestrowanych w poradniach przeciwgruźliczych w Łodzi	Liczba chorych z czynną gruźlicą	Liczba chorych prątkujących	Odsetek prątkujących wśród chorych z gruźlicą czynną
1962	52.393	20.016	2.644	13,2
1963	52.201	18.391	2.796	15,2
1964	45.981	14.972	2.713	18,0

Jednym z najistotniejszych punktów zagrożenia są chorzy prątkujący. Ilość ich w Łodzi na przestrzeni lat nie zmienia się. Dlaczego? Odpowiedź da szczegółowe „rozpracowanie" tej grupy chorych. Należy jednak przypuszczać, że część z nich nie leczy się lub przerywa leczenie. O tym jednak później.

Wskaźnik nowych zachorowań w Łodzi jest niski. Nie należy jednak z tego wyciągać optymistycznych wniosków. Przeciwnie. Świadczy on bowiem o niedoskonałości systemu wczesnego wykrywania choroby, czyli braku badań radiofotograficznych całej ludności. Trzy lata temu rozpoczęły je Bałuty. Akcja trwała 22 miesiące. Przebadano 91,3 proc. mieszkańców dzielnicy. Wykryto 435 osób chorych na czynną gruźlicę. Wskaźnik nowych zachorowań jest znacznie wyższy niż w innych dzielnicach, które nie przeprowadziły badań.

W 1964 r. wykonano w NRD około 12 milionów zdjęć małoobrazkowych, w CSRS — 5 milionów. W CSRS rozważa się obecnie możliwość badania w przyszłości co 2 lata mężczyzn w wieku ponad 45 lat i kobiet w wieku ponad 64 lata, zaś co 4 lata mężczyzn w wieku 15—44 lata i kobiet od 15 do 64 lat.

Trzy elementy warunkują powodzenie w walce z gruźlicą: wczesne wykrywanie, właściwe leczenie i szczepienia ochronne.

Nie jest dobrze w Łodzi z wczesnym wykrywaniem. Badania katastralne (środowiskowe) mają wówczas sens, kiedy przebada się w ciągu roku 95 proc. ludności. Bałucka próba podjęta pioniersko może być traktowana jako eksperyment i wstęp do masowych badań wszystkich mieszkańców Łodzi. Przewiduje je plan walki z gruźlicą w naszym mieście opracowany na lata 1966—70. Dokładne przestudiowanie planu wyjaśnia dlaczego jest pięcioletnim. Badania katastralne ludności prowadzone będą w b. roku tylko na Bałutach, Górnej i Polesiu. W Śródmieściu i Widzewie — w 1967 r. I już całe założenie powszechnego przebadania ludności spala na panewce, bo dla Widzewa i Śródmieścia nie ma 2 aparatów małoobrazkowych. Na dodatek Widzew nie ma stacji radiofotograficznej. Przez szereg lat walki z gruźlicą w Łodzi, nie załatwiono podstawowych spraw materialnych. Pechowy Widzew, który miał w statystyce najwięcej chorych na gruźlicę nie miał własnej poradni przeciwgruźliczej. Ofiarowano ją wreszcie (lokal) w postaci baraku, zakwalifikowanego za rok do... rozbiórki. Obecnie trwa penetracja terenu w poszukiwaniu nowego obiektu. Służba Zdrowia każdy weźmie. Wzięła przecież starą czynszową kamienicę po szkole na stację radiofotograficzną dla Polesia (Gdańska 29). Widzew i Śródmieście pozostaną nadal sublokatorami Centralnej Przychodni przy ul. Moniuszki 7/9, gdzie powinna być tylko stacja awaryjna. Aktualnie Przychodnia jest w rozgardiaszu remontowym trudnym do opisania. Główny sztab walki z gruźlicą pracuje stłoczony w jednej połowie zabytkowego gmachu, który obwarowany zastrzeżeniami konserwatora nie może ulec przebudowie pod kątem sprawności funkcjonalnej. 1700 ludzi przechodzi dziennie przez jedną bramę do gabinetów zabiegowych, poradni dziecięcej, gabinetów lekarskich itd.

Załóżmy jednak, że mamy już wszystko co trzeba i nie brakuje nie tylko ekipy konserwacyjno-remontowej i części zapasowych do aparatów małoobrazkowych, lecz także klisz rentgenowskich. Załóżmy, że wykryto 2.000 nowych chorych. Będą zarejestrowani w poradni i leczeni, ale w grę wchodzi jeszcze opracowanie środowiska chorych na gruźlicę. Trzeba więc izolować przewlekle chorych trwale prątkujących i rozszerzyć opiekę nad rodzinami chorych przez lecznictwo podstawowe.

Leczenie. Pod tym określeniem należy rozumieć nie tylko metody stosowane przez lekarzy-ftyzjatrów. Są one ujednolicone i polegają na podawaniu zestawu określonych leków w określonym czasie dla uzyskania podstawowego efektu — odprątkowania. Współdziałanie pacjenta w terapii jest warunkiem jej skuteczności tak w pierwszej fazie (leczenie szpitalne), która dziś skracana jest do trzech miesięcy, jak i następnej (doleczanie) — kontynuowanej od dwóch lat w warunkach ambulatoryjnych. Współdziałanie polega na dyscyplinie leczenia się, czyli wykonywaniu wszystkich zleceń lekarskich. Tu jednak zbyt często załamuje się cały plan, by można mówić o pełnych efektach kosztownej terapii. (20—50 tys. złotych rocznie kosztują same leki dla jednego chorego).

W ubiegłym roku zdarzył się w łódzkim szpitalu przeciwgruźliczym wypadek bez precedensu: rozprawa Kolegium Karno-Orzekającego przeciwko pacjentowi, który w stanie nietrzeźwym awanturował się w szpitalu.

Przełomem w zwalczaniu gruźlicy było wynalezienie w 1921 r. skutecznej szczepionki BCG. Wprowadzenie w 1936 roku rentgenografii małoobrazkowej umożliwiło masowe badania ludności i wczesne wykrywanie gruźlicy płuc. Olbrzymim osiągnięciem ostatnich 20 lat było wynalezienie nowych skutecznych leków przeciwgruźliczych, streptomycyny (1943 r.), PAS (1946 r.) i kwasu izonikotynowego — INH (1951 r.), cykloseryny i in.

W Polsce jest 80 tys. chorych na gruźlicę, którzy prątkują. 25 proc. z nich to grupa aspołeczna. Nie leczą się, a tylko „przebywają" w szpitalu.

W 1964 roku wprowadzono przymus leczenia. W tym roku zobowiązano lecznictwo do konsekwentnego stosowania przymusu zgodnie z ustawą o zwalczaniu gruźlicy i ustawą o zwalczaniu chorób zakaźnych. Nakazem chwili jest wydanie noweli i wyraźnych dyrektyw Ministerstwa Zdrowia, w tej sprawie. Dobrze byłoby — gdyby w niezwykle korzystnej dla pacjentów ustawie wprowadzić nieco zależności pomiędzy przywilejami a dyscypliną leczenia. W NRD chorzy leczący się tracą zasiłki w przypadku przerwania leczenia. U nas nie. Rencista otrzymuje 100 proc. renty i wówczas, kiedy się leczy i wówczas, kiedy przerywa leczenie. Jesteśmy hojni. Społeczeństwo płaci także za to, że jest zarażone.

Nierzadko pacjenci nie chcą się poddać zabiegom operacyjnym, które radykalnie zlikwidowałyby chorobę, wyjawniając bez żenady swoje credo: po co mam się operować, wyleczyć i iść do pracy? Jak jestem chory, to dostaję zasiłek i siedzę w domu, idę do szpitala, sanatorium... Grupę tych pacjentów cechuje dziwna złośliwość. Tłumaczenia lekarzy o niebezpieczeństwie zarażenia rodziny spotykają się z takimi replikami: „jak ja jestem chory, to i inni mogą chorować i leczyć się razem ze mną". O wiele bardziej zdyscyplinowane są kobiety. Leczą się intensywnie, pragną szybko wrócić do domu, przejmują się losem dzieci, domem, mężem, pracą. Może dlatego zajmują tylko 25 proc. łóżek w szpitalach i sanatoriach.

Gruźlica atakuje ostatnio starsze roczniki. Wśród nowych zachorowań wykrytych na Bałutach 7 osób znalazło się w granicach wieku 10—18 lat, 41 pomiędzy 18 a 24 rokiem życia, 152 pomiędzy 25 a 50 i 235 w wieku powyżej 50 lat. Wśród tych ostatnich (nawet w wieku 70—80 lat) jest najwięcej chorych chronicznie. Stanowią niebezpieczeństwo przede wszystkim dla dzieci, którymi najczęściej zajmują się, wyręczając swe córki i synów. Ich najtrudniej przekonać do leczenia. I tu przymus jest wyjściem najbardziej racjonalnym. (Wśród 100 proc. zachorowań w ogóle w 1958 r. 30,7 proc. stanowili ludzie powyżej 50 lat życia. W 1965 r. procent ten podniósł się do 42,3).

Specjaliści proponują zorganizowanie domu przymusowego leczenia jednego dla całego kraju. Można by tam wówczas kierować także tych, którzy „przebywają" w szpitalach, czy sanatoriach w nieskończoność na koszt państwa. Druga sprawa, to w wypadkach choroby chronicznej — dom dla przewlekle chorych, którego Łódź nie może się doczekać mimo społecznej inicjatywy.

Należy jeszcze powiedzieć o jednym: przerwanie leczenia powoduje następstwa, w które pacjent najczęściej nie chce uwierzyć: choroba wraca w postaci znacznie ostrzejszej i o wiele trudniejszej do leczenia. Nie działają wówczas leki klasyczne, na które wytworzyła się odporność u broniącej się bakterii. Trzeba szukać nowych silniejszych kompozycji, których lecznicze działanie ma uboczny, szkodliwy wpływ na organizm.

Największą tragedią dla samego lecznictwa w zwalczaniu gruźlicy jest jej bezbolesność. Gdyby chorobie towarzyszył ból — nie byłoby problemów z pacjentami sugerującymi się subiektywnym dobrym samopoczuciem.

W programie walki z gruźlicą niezmiernie ważnym posunięciem organizacyjnym będzie zaprowadzenie we wszystkich rejonach lecznictwa podstawowego (w porozumieniu z poradnią p/gruźlicą) rejestru chorych celem stałej kontroli i zabezpieczenia ciągłości leczenia oraz poinstruowanie lekarzy lecznictwa podstawowego o postępowaniu z chorymi na gruźlicę (tzw. Minimum ftyzjatryczne). Nowe obowiązki spadną także na przemysłową służbę zdrowia. Ambulatoria zakładowe będą prowadzić kartoteki chorych kontrolując leczenie. Ważne będzie również sporządzenie wykazu stanowisk pracy, na których nie mogą być zatrudnieni chorzy i ozdrowieńcy po gruźlicy.

Wkrótce będzie w Łodzi (i w całym kraju) wystarczająca ilość łóżek na potrzeby lecznictwa zamkniętego (1000). Różnice pomiędzy szpitalem a sanatorium zanikają. W obu typach zakładów stosuje się te same wskazania i metody leczenia. Jeżeli jednak dobrze zostaną ustawione poradnie i działalność profilaktyczno-epidemiologiczna — za trzy lata łóżek będzie za dużo. Ale dobre ustawienie poradni, to nie tylko baza materiałowa, która wymaga poważnego uzupełnienia w lokalach i aparaturze, lecz także kadry, których jest jeszcze za mało. Nie może brakować etatów lekarskich i pielęgniarskich i nie może brakować lekarzy i pielęgniarek, laborantów, rejestratorek itp. Zwiększyły się nakłady finansowe na leki przeciwprątkowe, zwiększyła się ilość zużywanych leków, rozwijają się metody ich stosowania. Wiedza medyczna poczyniła postępy w zapobieganiu i leczeniu gruźlicy. Ten dorobek trzeba umiejętnie wykorzystać.

Uzyskaliśmy ogromne sukcesy w ratowaniu dzieci przed gruźlicą. W tym wypadku można snuć optymistyczne prognozy. Podczas gdy w 1962 r. na 10.000 dzieci w wieku 0—14 lat było 12,42 zachorowań, to w 1964 r. już tylko 5,84. W tym roku przewiduje się 3. Szczepieniami BCG objęto 98 proc. noworodków. Kontrola roczników szczepionych przebiega w 90 proc. W tej chwili ciężar profilaktyki przesuwa się na młodzież w wieku 15—18 lat.

Społeczeństwo musi wiedzieć, że gruźlica jest chorobą uleczalną, a człowiek chory ma obowiązek leczyć się, wyleczyć i wracać do społeczeństwa bez wstydu, że chorował i bez obawy, że otoczenie będzie się od niego odsuwać.

W walce z gruźlicą lecznictwo łódzkie ma poważnego sojusznika w postaci Społecznego Komitetu Przeciwgruźliczego. Jemu pozostaje rola uświadamiania i aktywizacji społeczeństwa. Takie organizacje jak PCK, Liga Kobiet, ZMS reprezentowane w Komitecie są w stanie pomóc w przełamaniu oporów, przesądów i aspołecznych tendencji jednostek, czy środowisk. Najwyższa pora, aby w dziele przeobrażenia Łodzi tak dobitnie uzewnętrzniającym się, dokonać likwidacji choroby, której źródłem była zapomniana już prawie nędza ziemi obiecanej.

Z teki WACŁAWA KONDKA

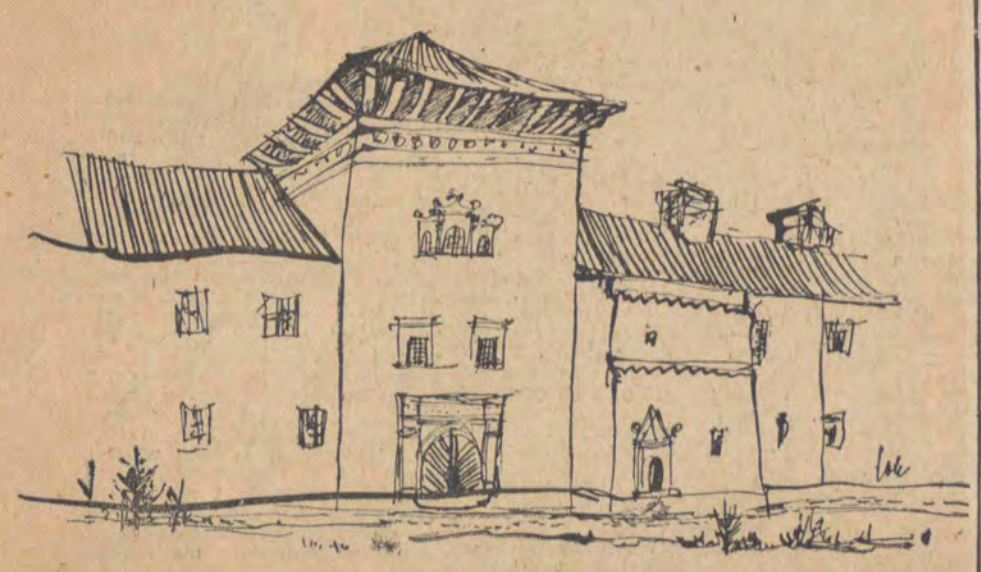

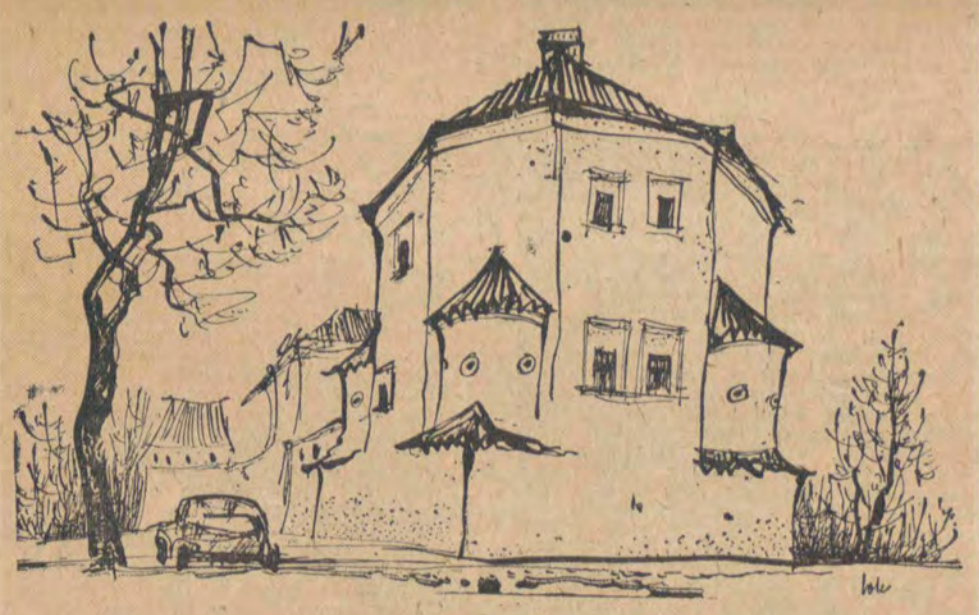

Nowo odbudowany pałac w Bykach

Co zdarzyło się Andrzejowi S.?

Dalszy ciąg ze str. 1

głów smarował maścią siarkową i po chorobie. Świerzb to zresztą nie choroba..."

Ucieszyłem się jak dziecko mimo, że tak wielki zakup maści siarkowej w aptece zniszczył moją dotychczas nieposzlakowaną opinię w dzielnicy. Aptekarka wyznała, że od 1945 roku nie sprzedała na raz tyle maści siarkowej. — To nie okupacja, są łazienki, i w mieście świerzb w ogóle już nie bywa — tu spojrzała na mnie z wyrzutem. Nic nie odpowiedziałem, bo trudno każdemu tłumaczyć, że się ma kulturalną, zakonspirowaną formę świerzbowca.

Przeżyłem trzy długie dni nadziei i oczekiwania leżąc w łóżku pokryty cały paskudną, śmierdzącą niemiłosiernie mazią. Czwartego dnia wykąpałem się i sam sobie zadałem pytanie: swędzi czy nie swędzi. Wydawało mi się, że nie, wobec czego pobiegłem do lekarza z podziękowaniami.

Następnego dnia wszystko zaczęło się od początku. Nie pozostawało mi więc nic innego jak zgłosić się do Kliniki Dermatologicznej.

Profesor załamał nade mną ręce: do czego pana doprowadzili lekarze rejonowi? Nikogo z Pańskiej rodziny nie swędzi? Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Któż więc słyszał o świerzbie, który się nie udziela innym osobom? Pan jest alergikiem!...

To było akurat rok temu. Święta Bożego Narodzenia i wiele innych dni poświątecznych spędziłem w łóżku szpitalnym. Codziennie przez trzy godziny do moich żył sączono kroplówką — jak to nazwał profesor — coctail antyświądowy, którego receptura jest zdaje się tajemnicą. Po dwu tygodniach takiej kuracji opuściłem mury Kliniki, czy też, jak ja nazywali współpacjenci-wenerycy, łabaja. Byłem wyleczony, świad minął.

W Klinice nie stwierdzono na co jestem uczulony, a jak wiadomo można być uczulonym na wszystko. Nawet na własną żonę. Na wszelki jednak wypadek poradzono mi, żebym zrezygnował z noszenia odzieży zawierającej sztuczne włókno. Wyrzuciłem więc nieco już przetarte spodnie z elany, podarowałem przyjaciołom koszule i skarpetki nylonowe a sam zacząłem się martwić, skąd wziąć pieniądze na zakup niealergizującej garderoby.

Mimo tych zabiegów, by moja skóra nie wchodziła w żaden kontakt z produktami nowoczesnej chemii, po dwu tygodniach od wyjścia z kliniki świąd wrócił.

Każdy z członków mojej rodziny miał inną teorię na temat przyczyn mojej choroby. Żona, zwyczajem wszystkich żon, uważała, że w chorobę wpędził mnie alkohol. Gdy mówiłem, że lekarze nie potwierdzają tej teorii, odpowiadała: a bo ty chodzisz tylko do mężczyzn... Ciotka z kolei wszystko kładła na karb diety odchudzającej jaką przeprowadziłem przed chorobą. Tak czy owak rzecz była nieodwracalna. Nie odchudzałem się już, nie piłem wódki — drapałem się dalej. Czyniłem to tak skutecznie, że wywiązywały się infekcje i po miesiącu nie pozostało mi nic innego jak znowu się zgłosić do tej samej Kliniki.

Tym razem jednak coctail profesora nie pomagał. Mało tego, okazało się, że jestem chyba uczulony na lek antyuczuleniowy, bo z każdą kroplówką było mi gorzej. Musiałem sprowadzić sobie z domu własną pidżamę, po profesor uznał, że na pewno zaszkodziła mi bielizna szpitalna prana w chemikaliach. I to jednak nie pomogło. Wrócono więc znowu do koncepcji lekarza rejonowego, a więc, że to jest świerzb. Tym razem jednak nie smarowano mnie już maścią ale jedynie dokonano próby mikroskopowej. Wynik był negatywny. Wreszcie zastosowano leczenie, które zaczęło przynosić rezultaty. Podwstrzasy insulinowe. Codziennie dostawałem dawkę insuliny o 10 jednostek większą aż doszedłem tak do 100 jednostek. Gdzieś już tak przy 80 jednostkach przestało mnie swędzić. Cała ta jednak historia wyczerpała mnie zupełnie, wobec czego lekarze uznali, że muszę pojechać do sanatorium. Był piękny, słoneczny marzec, gdy znalazłem się w Kudowie. Nie zdążyłem jednak jeszcze dobrze rozpakować walizek, gdy zaczęło mnie... swędzić.

Przez kilka miesięcy leczyłem się ambulatoryjnie. Naświetlano mnie lampami, przestrzykiwano krew z żył do mięśni, leczono hormonami, brałem chyba wszystkie jakie się produkuje u nas i za granicą leki antyalergiczne. Wszystko na nic. Gdy znowu było mi gorzej, postanowiłem jeszcze raz iść do szpitala ale tym razem do innej kliniki z innym profesorem.

I znowu dostawałem insulinę ale tym razem mój organizm zbuntował się. Nie reagował na najbardziej końskie dawki, które by wprowadziły w stan rozkosznego niebytu boksera wszech wag. Lekarze orzekli, że widocznie, po pierwszej kuracji insulinowej, przyzwyczaiłem się do tego leku i dlatego nie reaguję właściwie. Denerwowałem się coraz więcej, zwłaszcza, że widziałem bezsilność lekarzy. Pielęgniarki radziły mi: uciekaj pan stąd czym prędzej, bo tu jeszcze nikogo ze świądu nie wyleczono.

Minęły już trzy tygodnie mojego pobytu w klinice, gdy zademonstrowano mnie profesorowi. Stałem nagusieńki, jak mnie Pan Bóg stworzył, przed profesorem i czekałem cierpliwie na wyrok. Profesor zdecydowanie stwierdził: przerwać insulinę, odstawić leki, bo to jest ŚWIERZB.

Dostałem małego szoku nerwowego. Ale jak pokorne cielę dałem się zaprowadzić do maściarni, gdzie mi zaaplikowano maść przeciwświerzbową. I znowu trzy dni złudnej, nie wiadomo dlaczego, miałem już przecież za sobą gorzkie doświadczenie, nadziei, że może jednak... Nic z tego. Gdy tylko wykąpałem się stary znajomy, świąd, wrócił.

Dzisiaj piszę o tym na wesoło ale wtedy nie do śmiechu mi było. Załamałem się. Przestałem, mimo olbrzymich dawek neuroleptyków sypiać, wreszcie urządziłem lekarzom dziką awanturę. Myślałem, że wyrzucą mnie ze szpitala, chciałem zresztą tego ale oni zamiast tego wezwali... psychiatrę.

Konsultant psychiatryczny, bardzo miła pani doktor, po krótkiej rozmowie ze mną stwierdziła, że moja choroba to nerwica nazywana też psychonerwica. — Świąd jest tylko objawem, mogą być zresztą i inne, pana leczono dotąd jedynie objawowo, stąd nie było rezultatów, a należy podjąć kurację przyczynową. Powinien pan niezwłocznie zgłosić się na oddział psychonerwic w Tworkach i poddać się psychoterapii..."

I tak znalazłem się w Tworkach. Jak dziś pamiętam z jakim przerażeniem zmierzałem przez olbrzymi park, szukając mojego pawilonu, jedynego z klamkami, bojąc się że zaraz i zza najbliższego krzaka wyskoczy furiat i udusi mnie...

A oto moje notatki, nieco chaotyczne, które przez 6 tygodni prowadziłem „za brama"...

27. X. Doktor Leder, szef nerwicy tworkowskiej, powiedział mi, że nie wymaga ode mnie bym uwierzył w swoją psychonerwicę, na początek wystarczy, bym jedynie chciał się leczyć i poddał tutejszemu, reżymowi. Nie jest to bowiem zwykły szpital już chociażby dlatego, że lekarstw pacjent z początku w ogóle nie dostaje, a później jedynie w wyjątkowych wypadkach, poza tym w dzień nie leży się w łóżku. Chorzy chodzą w swoich ubraniach i w ogóle nie należy używać słowa „szpital". Jest ono tutaj na indeksie. Pierwszego dnia zapoznano mnie z regulaminem, i zapowiedziano, że jeśli nie będę go przestrzegał pożegnam się z oddziałem. Rano więc obowiązkowa gimnastyka, później, z przerwą na obiad, terapia zajęciowa w świetlicy lub w pracowni, od godziny 15 czas wolny ale za bramę wolno tylko wychodzić za przepustką. Po pewnym czasie dostaje się przepustki na sobotę i niedzielę. Na razie jeszcze nie wiem co to takiego, w każdym razie dowiaduję się, że dwa razy w tygodniu terapia indywidualna, raz grupowa.

29. X. Moi towarzysze niedoli przeszli podobne do mnie koleje losu. Większość ich zanim tu trafiła leczyła się u lekarzy różnych specjalności, nikt z nich nie potrafił jednak wykryć żadnego schorzenia organicznego. Pana Mieczysława boli serce, od wielu lat, był w różnych klinikach kardiologicznych, wróżono mu rychły zawał serca, wreszcie któryś z eskulapów wpadł na pomysł, że to może być objaw nerwicy. U pana Ryszarda lekarze kolejno rozpoznawali guz na mózgu i padaczkę, a wszystko dlatego, że kiedyś na ulicy stracił przytomność. Rozumiem, że lekarz zanim postawi diagnozę nerwicy musi najpierw wykluczyć wszelkie możliwości materialne, a więc rzeczywistych chorób organicznych ale dlaczego na boga to tak długo trwa? Czy w moim na przykład wypadku, wobec braku symptomów prawdziwej alergii nie mogli profesorowie wcześniej wpaść na koncept nerwicy? Wydaje mi się, że wiedza o nerwicach i jej leczeniu jest nie tylko minimalna w społeczeństwie ale i wśród lekarzy, oczywiście poza psychiatrami, bo ci się właśnie nią zajmują.

3. XI. Dzisiaj moja Pani Doktor poleciła mi bym przeczytał broszurkę przetłumaczoną z czeskiego na temat psychonerwicy. W normalnym szpitalu lekarz bynajmniej nie życzy sobie, by pacjent cokolwiek wiedział o swojej chorobie. Tutaj jest inaczej, pewne podstawowe sprawy pacjent musi znać od tego bowiem zależy powodzenie kuracji. Niestety broszurka jest nie najlepsza, przekład dokonany przez któregoś z pacjentów zapewne w ramach terapii zajęciowej, również pozostawia wiele do życzenia i chyba lepiej byłoby, by któryś z polskich psychiatrów opracował taki bryk dla pacjentów. W każdym razie dowiaduję się tego co mi jest na razie potrzebne. A więc nerwica może się różnie objawiać: bóle serca, stany lękowe, bezsenność, bóle czy zawroty głowy, tracenie przytomności czy też natręctwa myślowe. O świądzie broszurka nic nie wspominała ale na oddziale widziałem, że niektórzy pacjenci też się drapią. Nie jest nerwica choroba psychiczną, bo ta polega na zmianach organicznych w mózgu czy centralnym systemie nerwowym, natomiast nasze dolegliwości to jedynie zmiany czynnościowe kory mózgowej, niewykrywalne przez żadne badania w rodzaju punkcji, odmy mózgu czy elektroencefalografu. Nie bardzo wiem co to są te „zmiany czynnościowe", wystarczy mi jednak następne stwierdzenie, że w odróżnieniu od psychotyków pacjenci chorzy na nerwicę mają pełną świadomość. Nerwice wywołują konflikty w życiu człowieka, wystarczy je usunąć i miną przykre objawy. Proste, prawda?

5. XI. Na razie jeszcze nie wiem jakie to konflikty w moim życiu wywołały nerwicę. W tym mają mi właśnie pomóc rozmowy z Panią Doktor, co tutaj nazywa się terapią indywidualną. Na razie jednak moja spowiedź dotyczy jedynie okresu wczesnego dzieciństwa i boję się, że nim dojdziemy do wieku dojrzałego upłynie jeszcze ładnych kilka tygodni. Jestem już przekonany, że mój świąd to psychonerwica, ciągle jednak jeszcze nie mogę uwierzyć, że wyleczyć mnie można samymi jedynie rozmowami z lekarzem.

Nie wiem również jakie konflikty wywołały chorobę moich współpacjentów, ludzie chętnie opowiadają o objawach, milczą na temat przyczyn. Albo jeszcze nie wiedzą albo, co prawdopodobniejsze nie chcą o nich mówić. Nic dziwnego jeśli wziąć pod uwagę, że zdecydowana większość nerwic, zwłaszcza u kobiet, jest na tle seksualnym. Stąd psychoterapia grupowa, w której dzisiaj uczestniczyłem, przypomina nieco zabawę w chowanego. Mówiliśmy właśnie o sprawach seksualnych ale każdy wypowiadał się jedynie ogólnie i unikał tematu osobistego. Poza panią Krysią, która przebywała już na leczeniu w podobnym co Tworki ośrodku w Rasztowie, gdzie stosują wyłącznie, wzorem Czechosłowacji, psychoterapię grupową i stąd miała doświadczenie. Opowiedziała nam, że jej kłopoty, dość poważne, bo traci przytomność w najbardziej nieoczekiwanych momentach pochodzą z niezaspokojenia seksualnego. Powinna się właściwie rozwieść ale dzieci, dom, pozycja itd.

9. XI. Dzisiaj sobota, a więc mamy zebranie samorządu. Nasz samorząd, przynajmniej w teorii, bo w praktyce jest nieco gorzej ma regulować życie na oddziale. Na ogół jednak jego funkcje sprowadzają się do organizowania wieczorków tanecznych. W Tworkach taki wieczorek to nie przyjemność ale również forma terapii i to obowiązkowa. Dla niektórych zresztą chyba bardzo dobra. Bo jeśli pan Marek odczuwa lęki wobec kobiet, to właśnie świetna okazja, by je przezwyciężać.

Na zebraniu samorządu starosta grupy męskiej i żeńskiej charakteryzuje zachowanie każdego pacjenta, co obecnym na sali lekarzom ma dać dodatkowy materiał o ich podopiecznych. Podobne sprawozdanie składa również terapeutka zajęciowa, czego się najwięcej obawiam. Wyklejanie abażurów czy też wyszywanie serwetek nigdy nie było moim hobby i na terapii zajęciowej migam się jak tylko mogę. Nie mam zresztą wewnętrznego przeświadczenia, że jeśli zrobię domek dla ptaszków to przestą nie mnie swędzić. Po zebraniu samorządu odbywa się wystawa prac wykonanych przez pacjentów, do tej pory jednak nie było na niej tabliczki z moim imieniem. Zostałem jednak redaktorem gazetki ściennej, to jest również forma terapii zajęciowej.

12. XI. Nie pisałem dotychczas o jeszcze jednej formie terapii: o treningowej. Aż cztery panie u nas mają tzw. lęki komunikacyjne. Boją się jeździć tramwajami, czy też autobusami i to do tego stopnia, że jedna z nich wyskoczyła kiedyś w pełnym biegu z tramwaju. Pani Zuzanna zanim przyszła tutaj na leczenie całą swoją pensję wydawała na taksówki. W miejskim środku komunikacji wydaje się jej bowiem, że natychmiast zemdleje. Oczywiście pani Zuzanna zdaje sobie sprawę, że jej lęk jest zupełnie bezzasadny, nie może jednak zapanować nad nim. Panie z lękami komunikacyjnymi trenują więc codziennie jazdę kolejką, która łączy Tworki z Warszawą. Pani Zuzanna opowiadała dzisiaj z triumfem, że przejechała aż trzy przystanki. Więcej już nie mogła, wysiadła więc i wróciła do Tworek pieszo. Pan Ryszard, który ma zawroty głowy ćwiczy wchodzenie na drabinę, a jedna pani z kłopotami pożycia domowego na treningi jeździ do domu. Ciekawy tylko jestem jaki trening wymyślą lekarze panu Markowi, który odczuwa lęki przed płcią piękną... Żartujemy, że jego wypadek jest karą za grzech cudzołóstwa. Przed laty miał romans z mężatką i w najbardziej nieodpowiednim momencie wszedł mąż... Od tej pory pan Marek boi się kobiet.

Dla mnie niestety nie ma żadnego treningu...

15. XI. Najbardziej przykra, przynajmniej dla otoczenia, jest nerwica konfliktowa. Mamy właśnie na sali pana Romana, który jest konfliktowcem. W każdym środowisku, w którym przebywa wszczyna awantury, w jego bowiem wewnętrznym odczuciu wszyscy mu źle życzą lub wręcz chcą go poniżyć czy skrzywdzić. Jest to wynik tak zwanego trudnego dzieciństwa, tułania się po różnych Domach Dziecka. Nie potrafi zapanować nad sobą, co powoduje, że w żadnym zakładzie pracy nie może dłużej zagrzać miejsca. Dzisiaj właśnie miałem awanturę z panem Romanem, poszło o drobiazg bez znaczenia, czy okno ma być otwarte, ale on właśnie z takiego głupstwa potrafi zrobić wielką historię.

Inni natomiast pacjenci są bardzo mili. Zauważyłem, być może chcę się pocieszyć, że nerwica jest chorobą ludzi inteligentnych i wrażliwych. W porównaniu z pacjentami na dermatologii tutaj jest znacznie wyższy cenzus wykształcenia, przeważnie ludzie po wyższych studiach lub studenci. A propos przerażający jest przeciętny wiek nerwicowców, na ogół są to ludzie młodzi, mam na sali trzech chłopców, którzy jeszcze nie przekroczyli 20 lat. Jeden z nich, Wacek, jest przykładem jak zgubne skutki może wywołać tak zw. literatura uświadamiająca. W wieku 13 lat przeczytał broszurkę o chorobach wenerycznych, a że miał na ciele jakąś nieszkodliwą wysypkę, prawdopodobnie alergiczną, wmówił sobie, że jest chory na kiłę. O swoim odkryciu nie powiedział nic rodzicom, wstydził się też iść do lekarza. Od tej pory żył pod strachem. Stwierdzał u siebie coraz nowe objawy choroby, oczywiście urojone. Przez ostatnie dwa lata w ogóle już nie wychodził z domu, bał się ludzi, wydawało mu się, że każdy przechodzień z jego twarzy potrafi odczytać chorobę. Wacka na razie w żaden sposób nie można namówić, by wziął udział w wieczorku tanecznym.

25. XI. Długo nie prowadziłem tych notatek, bo nie miałem czasu. Pani Doktor poleciła mi bowiem... myśleć. Zadanie nie bagatelne, sam mam bowiem dojść do przyczyn swej choroby.

— Jeśli sam pan sobie nie pomoże to i lekarz nic nie będzie mógł panu pomóc — powiedziano mi. Coś już mi zaczyna świtać w głowie, niestety nie widzę żadnych możliwości usunięcia tych konfliktów z mojego życia. W każdym razie już trzy etapy leczenia psychonerwicy mam za sobą: wiem już, że moje swędzenie jest objawem nerwicowym, uznałem wyższość metody psychoterapii nad leczeniem farmakologicznym, zrozumiałem co jest przyczyną mojej choroby, pozostała mi tylko rzecz tak „bagatelna" jak poczynienie pewnych zasadniczych zmian w życiu. Tego już jednak lekarze nie mogą za mnie zrobić.

W każdym razie świąd ustąpił. Dlaczego, nie mam pojęcia, tutaj tylko ze mną rozmawiano, ale prawdę mówiąc jest mi to obojętne. Grunt, że nie swędzi. Mam już w ogóle zamiar wypisać się stąd, w końcu już dość należałem się w szpitalach.

Nerwicy nie można wyleczyć zupełnie, można ją jedynie zaleczyć i starać się jakoś z nią żyć. Mam nadzieję, że gdy ustąpił świąd nie pojawi się u mnie jakiś nowy (jest to zresztą bardzo możliwe, w nerwicy istnieje wymienność objawów) objaw. Na przykład lęk do kobiet?

ANDRZEJ J.

NA ŁAMACH „ODGŁOSÓW" P. WŁADYSŁAW BARANOWSKI LANSUJE NOWE MODELE SAMOCHODÓW (ODKRYTE W ARCHIWUM)

Samochód jednokołowy

Samochód na łódź

Samochód trzykołowy

Samochód dwukołowy

Samochód parowy

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Balans na włosku

Od małości miał do tego dryg. Włosy sobie w tłusty lok zawijał przed lustrem godzinami stając, siostry czesał, ojca golił, sąsiadkom głowy żelastwem przypalał, że zachwycone mówiły, że ani chybi będzie z niego fryzjer, i w ogóle kochał się we włosach — rudych, czarnych i bladych (niebieskich w tym czasie nie znano).

1.

Kiedy lat miał piętnaście — do salonu fryzjerskiego trafił, i edukację pod kierunkiem mistrza rozpoczął. Skromniutko, pokornie, jak to każdy w tej branży zaczyna. Paniom z towarzystwa głowy mył w pachnidłach, szefa z lubością po ręku całował, podłogi zamiatał i do kiosku za sprawunkiem ciekał papierosy przynosząc i gazety.

Po trzech latach został czeladnikiem.

Lecz pokory nie stracił. Nie miał jeszcze gruntu pod nogami; toteż, gdy szef krzyczał: Reniu zrób, Reniu zamieć, Reniu przynieś mi herbatki — Renio skakał niby kukła na nitce uśmiechając się z wysiłkiem i obłudnie. Za to wieczorami, przed snem, w ciasnej klitce na poddaszu, kręcił sobie ku pociesze film zupełnie inny... Piękne panie, którym za dnia zmywał głowy, objawiały mu się nagie i łaskawe, a szef srogi był Renia lokajem...

Ale kilka długich lat ubiegło, nim Renio papiery mistrzowskie zdobył i marzenia senne mógł zamienić w rzeczywistość. Atoli w końcu ubiegły. Renio czekał teraz na okazję, by otworzyć własny zakład.

Okazja ta spadła na niego zgoła nieoczekiwanie, w postaci korpulentnej, mocno posuniętej w latach jejmości, która z dawien dawna przychodziła czesać się do Renia, a owdowiawszy nagle — oddała mu pulchną dłoń wraz z pokaźnym trzosem.

No! Poczuł wreszcie Renio, że na obu nogach stoi. Postanowił z szefem się pożegnać. Zrobił to zimno i ze wzgardą rzucając na ostatku:

— Ja tu taki, panie szefie, salon wybuduję, że ci reszta włosów wyjdzie z głowy.

2.

Wybudował salon wielki przy ciasnej ulicy. Potem za pracownikami się rozejrzał i zatrudnił stopniowo trzech fryzjerów-czeladników, dwie uczennice, kosmetyczkę i manicurzystkę.

Salon — jako się rzekło — był okazały, nowoczesny, wyposażony komfortowo. Ściany skrzyły się od luster, ciężka woń perfum rozpylanych wypadała na uliczkę niczym zapach potraw z restauracji, reklamy w prasie też robiły swoje, więc klientelę liczną i wytworną Renio zdobył w szybkim czasie wraz z nienawiścią konkurentów.

Z rzadka teraz wdziewał biały kitel. W byznesmena się zamienił — podatki płacił, kosmetyki, farby i lakiery z zagranicy sprowadzał, i na modłę właścicieli paru innych zakładów — czesaniem i ondulowaniem parać się zaprzestał. Czasami tylko wytworne panie z haj-lajfu dotknięciem ręki zaszczycał, aby nadać ostateczny kształt fryzurze. Ale grymasił przy tym — niby wielką łaskę robiąc — toteż sława jego rosła niebywale. Renio z Renia zmienił się w Roberta, o którym naraz sensacyjna fama poszła, że studia fryzjerskie w Brukseli odbywał. Więc:

— Pan Robert — szeptały po kawiarniach zachwycone damy wytykając arcymistrza maniciurą. — Jaki przystojny! Jaki inteligentny! Jaki bogaty!

— Ja tylko u niego. Już od paru lat.

— Ja też. Bardzo lubi mnie czesać.

— Mnie niedawno trwałą robił.

— A mnie łabędzia przedwczoraj zbudował.

— Kiedyś byłam z nim w kinie.

— Phi!... ja z nim...

— Ech...

— Ach!... Ach!...

— Och!... Och!...

Wszystkie niby go znają, wszystkim niby włosy rudził, osiwiał i czernił. Dlaczego? Bo zdaniem miejscowych piękności — mistrza Antuana w swoim fachu doszedł. Toż to zaszczyt u takiego być czesaną.

Tak wygląda pokrótce życiorys pana Roberta, właściciela zakładu fryzjerskiego.

Ale uwaga! Jakkolwiek niechlubne początki tej historii dawno utonęły w zapomnieniu, to ostatni jej rozdział ma jeszcze swoje kulisy...

3.

Bo też pan Robert smutny coś ostatnio chodzi. Trzydzieści tysięcy miesięcznie zarabia, auto zagraniczne przed tygodniem nabył, ubrany wykwintnie — w nylon, skóry i futro, brylantami z obu rąk wystrzela, a mimo to chodzi smutny...

— Co najmniej sześciu w tym mieście więcej ma ode mnie — skarży się do żony przy obiedzie. I wylicza zaraz przyczyny swojej zgryzoty: — Kłaczyński, Boguś, Miszka, Boryniec, Gębka i Grzebyczek.

Fot. W. Parys

— I jeszcze Perełka! — wykrzykuje żona.

— I jeszcze Perełka... — dodaje Robert w zadumie siódmy palec pod sygnetem zaginając.

Potem w myślach rachuje:

„Perła 3 tysiące z samych kosmetyczek ściąga. Po tysiącu mu płacą za odnajem miejsca w salonie, choć w papierach figuruje, że tylko po dwieście. Z dwu manicurzystek ma 1500 — w papierach stoi, że tylko czterysta. To ile razem? Razem 4500. Trzy uczennice — myśli dalej Robert — ze 20 tysięcy mu dają. Po roku już przecież tak zwanej nauki wymachują grzebieniami nie gorzej od czeladzi, a płacić im można, ustawowo, tylko po sześć setek. To ile razem? Razem 24 i pół. Co jeszcze? — myśli dalej Robert. — Jeszcze czterech czeladników Perła wynajmuje. Powinien z nich mieć, ustawowo — 20 tysięcy. — No bo każdy czeladnik zarabia niby miesięcznie 19 tysięcy, z których pięć oddaje właścicielowi zakładu, a z pięciu pozostałych podatki płaci resztę do portfela chowając. Ale prawda wygląda inaczej: każdy zarabia od 15 do 20 (o czym, naturalnie, w papierach nie pisze) i nadwyżkę wolną od podatku fifty-fifty z gospodarzem dzieli. Więc przeciętnie z czterech czeladników ściąga Perełka gdzieś 32. To ile razem? — rachuje Robert czarną krwią się zalewając. — Razem 62 i pół. Jeśli 4 tysiące na podatek się odliczy oraz 4 na świadczenia: gaz, komorne, światło, ogrzewanie, to na czysto Perełka miesiąc w miesiąc trafia 54 i pół".

Robert jednak ma podstawy, aby podejrzewać konkurentów o dochody jeszcze większe:

„Ot, Boguś na przykład — myśli sobie — dwa razy na tydzień walizki czymsiś opycha i do Warszawy jeździ. Po co? Robert dobrze się domyśla — po co. Robert sam by na to poszedł, gdyby dojście miał do źródła. Ryzyk-fizyk, głosi przecież gadka. Kto ryzykuję, ten w kozie nie siedzi. Chociaż... — przychodzi Robertowi na myśl afera X:

Rok temu to było. Podczas kontroli w małym sklepiku z przyborami fryzjerskimi — odkryto zapas płynu do trwałej ondulacji. Płyn ten sprowadza się z zagranicy, więc dziwiło kontrolerów, gdy pluskał rozkosznie w rodzimych litrówkach. Litr takiego płynu kosztuje w sklepach 200 złotych, zaś w małym sklepiku z przyborami fryzjerskimi kosztował ongiś znacznie taniej. No i co?

No i — jak to zwykle bywa — od niteczki do kłębuszka. Poszło siedzieć kilku inżynierów z pewnego zakładu, którzy odkryli skład chemiczny eliksiru i kradnąc z fabryki odpowiednie środki — pędzili go w podziemiach jak bimber. Poszedł także do więzienia niefortunny dystrybutor — właściciel sklepiku z przyborami. Rewizja w jego mieszkaniu sensacją była nielichą: słoik brylantów się znalazł, pół miliona dolarów, kilkaset tysięcy złotych... Na starym zaś strychu, bezpańsko niby, wstydliwie, milion złotych leżało w pięćsetkach całkowicie zgryzionych przez myszy.

Poszli siedzieć, ale Robert pewność ma niezbitą, że nie wszyscy wówczas wpadli. Robert słusznie przypuszcza, że ciągnęli z tego źródła jeszcze inni, i że zamiast siedzieć — ciągną w dalszym ciągu, bo eliksir drogocenny znowu pędzi ktoś w podziemiach niczym bimber. I dlatego właśnie Robert smutny chodzi. Dlatego żółć go zalewa. Też by przecież chciał pociągnąć z tego źródła, ale konkurencja jest zachłanna i nieufna, toteż patrzeć mu tylko zostaje, jak Bogusław z wypchanymi walizkami na dworzec podąża.

— Ile on miesięcznie może na tym trafiać? — łamie głowę Robert nieszczęśliwy. — 40 tysięcy, 50?...

A farby znowu... Na nich Gąbka ciężką forsę zbija. Rynek w lewy towar zaopatruje. Z Gąbki to w ogóle lepszy gość — myśli Robert z zazdrosnym szacunkiem. — Z całej ósemki (do ósemki rekinów Robert oczywiście zalicza i siebie. — Ośmiu nas jest — mawia często do żony z dumą wargi odymając. — Reszta to frajerstwo. Ryzyka się boją, pracowników ubezpieczają, podatki uczciwie płacą, więc na taksówkę do Gdańska przez to wszystko ich nie stać, nie mówiąc już o wyjazdach za granicę, willach i samochodach) jest największym podrywaczem. Grzebyk ma dwie kochanki. Boryniec tylko jedną i to na prowincji, bo żony panicznie się boi, natomiast Gąbka na pęczki je liczy. Ależ też sposoby ma wyśmienite. Trzeba przyznać. Jak się zjawi jakiś nowy obiekt, wówczas kitel biały wkłada i czesać zaczyna własnoręcznie. Koniakiem przy tym częstuje, amerykańskie papierosy ma pod ręką, ucznia po czarną kawę wysyła. Wszystko to jest niby hołdem dla wspaniałych włosów. Dobre sobie. Kiedy czesanie się kończy, gdy już koniak zrobił swoje, wówczas Gąbka oświadcza z powagą, że wóz na usługi świeżo pozyskanej i wielce szanownej klientki czeka przed zakładem, że on — właściciel tego wozu — z przyjemnością podwiezie gdzie trzeba...

Jeśli chodzi o Roberta — też był do niedawna niezły, na brak przygód uskarżać się nie mógł. Ale ostatnio przeżył na tym polu ciężki kryzys. Biednemu zawsze wiatr w oczy. Stara żona, która za wybitnym udziałem mściwej konkurencji słuchy o zabawach męża doszły (już on temu Boryńcowi przy okazji pokaże!), wpadła kilkakrotnie do zakładu, w chwili, gdy system Gąbki do swych celów adaptował, i burzliwe sceny zazdrości odstawiła niepomna na prześwietne towarzystwo. Ubyło w ten sposób trochę klienteli zgorszonej zachowaniem nieobytej żony, i interes przez to zaczął kuleć (ledwo trzydzieści tysięcy na miesiąc przynosi). Kochanki niby pozostały, przychodzą przecież czesać się za darmo. — Ale kochanki majątku nie przysporzą, wprost przeciwnie...

I dlatego właśnie arcymistrz Robert smutny chodzi ostatnio niesłychanie. Dla tego i dla innych jeszcze powodów, bo...

4.

...bo jak pieniądz do pieniądza ciągnie, tak nieszczęście do nieszczęścia...

Zaczęło się to niewinnie, niegroźnie na pozór. Ot, po prostu, zbuntowała się kosmetyczka, kiedy pobrać od niej chciał należność za odnajm miejsca w lokalu.

— Zapłacę 200 zł i ani grosza więcej! — powiedziała obstając przy klauzuli przewidzianej w umowie.

Śmieszne. Każdy przecież wie, że umowa umową, że istnieją poza tym jeszcze inne prawa, nie pisane, których trzyma się każda z uczennic, każda z kosmetyczek i manicurzystek, chcąca zarabiać w salonach „wielkiej ósemki".

Śmieszne! I oburzające zarazem. Więc powiedział Robert:

— Wont!

I zwolnił pracownicę bez namysłu.

I tu zaczęła się tragedia.

Zwolniona zażądała przewidzianego w takich wypadkach odszkodowania, które wynosiło złotych 1200. Kwota to dla pana Roberta bagatelna, ale uparł się zapłacić tylko 500 — raz: żeby krnąbrność ukarać i nauczkę dać na przyszłość, dwa: żeby opłatę dodatkową (tą nie wymienianą w umowie) za odnajem miejsca wyegzekwować (opłata owa wynosi w salonach „wielkiej ósemki" od 700 do 1000 złotych, a więc przynosi właścicielowi zakładu od 500 do 800 złotych nielegalnego zysku).

Co na to kobieta? Otóż nie przyjęła pieniędzy wyjętych z gestem i rzuconych z pogardą przez Roberta. Poszła natomiast do cechu. Po sprawiedliwość. Ponieważ jednak cech kobiecie nie pomógł, postanowiła skierować sprawę do sądu.

I dlatego Robert chodzi smutny.

Żeby to miał nerwy Grzebyka albo mistrza Kłaczyńskiego... Grzebyk przecież niedawno też był w takiej matni. Ale Grzebyk jest twardy i zawzięty. Grzebyk walczył do ostatka, na całego, o głupie tysiąc złotych; wydawać się mogło, że to sprawia mu przyjemność. I chociaż w końcu sprawę przegrał, dał przeciwnikowi nauczkę raz na całe życie zakładając rewizję po rewizji, przeciągając proces w nieskończoność i paląc nieszczęśnika w oczach innych odnajemców lokali. Grzebyk trzymał się zasady, że wielki pieniądz nigdy nie przegrywa, że wydawany w słusznych celach wraca się potem w dwójnasób.

Ale Robert, niestety, nerwów mistrza Grzebyka nie posiada. Może brudne ma sumienie, może obaw jest pełny, że w trakcie przewodu wyjdą na jaw jego ciemne sprawki?

I dlatego właśnie chodzi smutny, z myślami czarnymi się bije. Raz by poszedł na kompromis i załatwił zatarg polubownie, to znów — złością kierowany — do uporu poprzedniego wraca; rad by zrzucić ciężar z serca, lecz opinii kolegów się lęka, koledzy po fachu, fryzjerów-potentatów z „wielkiej ósemki", co od dawna podważają dobre imię rzemiosła.

To dlatego właśnie chodzi smutny. On — najlepszy fryzjer w mieście, człek zamożny, ustosunkowany, za granicą bywały i świat pracy mający w pogardzie.

ANDRZEJ GRUN

POLSKA GRAFIKA WSPÓŁCZESNA

Poza specyficznym temperamentem artystycznym, jakim legitymują się nasi twórcy, kilka innych jeszcze czynników wpływa na fakt, że tradycyjne techniki graficzne rozwijają się u nas w sposób tak żywiołowy i tak pełny. Pojęcia „tradycyjne techniki" w żadnym wypadku nie należy utożsamiać z epigonizmem, brakiem oryginalności czy technicznym skostnieniem. Fotografia i film, uwalniając dawne dyscypliny artystyczne od pospolitych funkcji obrazotwórczych, wytworzyły nowe techniki graficzno — malarskie, które z kolei znalazły szerokie zastosowanie — zwłaszcza na Zachodzie — w grafice użytkowej, a w szczególności w kształtowaniu oblicza plastycznego wielkich magazynów. I w tym to właśnie rozwoju reklamy i nowoczesnego czasopisma — gigantu należy doszukiwać się odejścia grafiki w kierunku funkcji usługowych. W odróżnieniu od grafików zachodnich, których twórczość integralnie związana jest z barwnym magazynem, z luksusowym wydawnictwem czy wreszcie z planszą informacyjno — reklamową (jako przykład przypomnę wystawę grafiki amerykańskiej w Warszawie w roku ubiegłym), polscy twórcy obok grafiki użytkowej uprawiają — w bodaj czy nie większym jeszcze stopniu — grafikę artystyczną.

Tradycyjne techniki — drzeworyt, linoryt, metal — przeżywają w chwili obecnej w Polsce swój wielki renesans i na pewno daleko im do roli Kopciuszka naszej plastyki. Otwarta niedawno w salach BWA w parku Sienkiewicza wystawa pod nazwą Polska Grafika Współczesna, aczkolwiek skromna i prezentująca niepełny zestaw nazwisk, jest jednak warta obejrzenia i pozwala pobieżnie zorientować się w kierunkach i tendencjach tej dziedziny plastyki. Żałować należy, że przy organizowaniu tego rodzaju ekspozycji zostały pominięte takie nazwiska jak Gielniak, Wejman, Góra czy Kulisiewicz, ale pewnego rodzaju rekompensatą jest możliwość obejrzenia oryginałów Suberlaka, drzeworytów Panka, linorytów Teresy Jakubowskiej, Kotlarczyka, Kuran — Boguckiej, metali Leszka Rózgi czy wreszcie barwnych monotypii Barbary Narębskiej — Dębskiej z Torunia. Na plus wystawy należy zaliczyć także fakt, że wybrano te prace, które są charakterystyczne dla aktualnego kierunku poszukiwań poszczególnych twórców i dla metody jaką posługują się w obróbce graficznego materiału.

I tak na przykład Jakubowska, która w swych pracach jakże chętnie portretuje mieszczański światek, z całym, tak charakterystycznym dla niego zaduchem i bezmyślnością ukazana jest na wystawie jako artystka posiadająca niezwykle specyficzny sposób obserwacji i wyobraźni, zbliżająca się czasami aż do granic ponurej groteski. Jerzy Panek prezentuje się linearnym, syntetycznym drzeworytem o niemalże abstrakcyjnej formie.

Stonowane w kolorze, prawie monotypie Barbary Narębskiej podejmują tak ulubiony i dziesiątki już razy opracowywany przez nią w najrozmaitszych technikach temat muru, nagiej, ślepej ściany.

Po obejrzeniu wystawy uderza przede wszystkim doskonałe opanowanie warsztatu i duże wyczucie na właściwości materiału. Umiejętność uzyskiwania środkami bardzo prostymi maksymalnej skali wyrazu i rzetelność, która unika tanich chwytów formalnych na korzyść czystości i szlachetności, jaką daje grafika warsztatowa.

EDWARD KOPCZYŃSKI

TRUDNE EDUKACJE

Tramwaje, dorożki, samochody, dużo ludzi, dzwonki, nawoływania woźniców, rojno i gwarno. Koło komisariatu ojciec kupuje Michałowi pączka; a sam wchodzi na piwo. Pije powoli, rozkoszuje się jasnym płynem z białą pianą i mruga do niego — jak święto, to święto. Jest mu dobrze, oblizuje ukradkiem palce po lukrze z pączka i odpowiada ojcu uśmiechem.

Potem przechodzą obok kościoła, ojciec zdejmuje tramwajarską czapkę, niesie ją chwilę w ręku dobre kilka kroków i starannie nakłada z powrotem na głowę. Michał swoją uniósł tylko i znów nasadził, dużo szybciej niż ojciec, ale ojciec tego nie dostrzegł. Nosi szkolną czapkę z niebieską wypustką i czarnym, lakierowanym daszkiem z całym fasonem — czapka jest uformowana i zawadiacko siedzi na głowie. Łatwo zdjąć, ale porządnie nałożyć można jedynie w lustrze lub w szybie — i za kościołem, w pierwszym oknie wystawowym, ukradkiem sprawdza, czy czapka dobrze siedzi...

Do placu Wolności trudno przejść. Co chwila usiłują ich zatrzymać.... Przy każdej bramie, furtce i sklepie. Jest dużo ludzi na chodniku, idą w jedną i drugą stronę, ale oni w tym tłoku nie giną, odnajdują ich nieomylne oczy „łapaczy" i co parę kroków muszą zatrzymać się, wysłuchać gradu słów, lawiny propozycji o coraz to innej okazji i możliwości.

Tu na Nowomiejskiej jest sklep przy sklepie, a w podwórzach, w oficynach, na wszystkich piętrach setki innych. Ci „łapacze" — tak nazywa ich ojciec — to agenci tych sklepów na ulicy. Na klienta nie wolno czekać, trzeba mu wyjść naprzeciw, trzeba go znaleźć, wyszukać w tłumie, namówić, by chciał wejść w podwórze, na trzecie piętro — to jedna niepowtarzalna okazja — po najlepszy materiał po najniższej cenie, po najlepszy garnitur, płaszcz i mundur szkolny, po najlepsze buty z najlepszej giemzy za jedyne siedem złotych, po najlepszą jesionkę lub płaszcz wiosenny za gotówkę lub na raty... Tych ludzi nic nie zraża. Każdy spokojnie czeka, żeby przestał mówić konkurent, i mówi swoje. Uśmiecha się, jakby przepraszał, że zatrzymuje, ale on musi to zrobić bo chce pomóc, bo on wie, że tatuś ma synowi kupić mundur, a jeżeli mundur, to tylko u nich, tu w tej bramie na parterze, niedaleko, parę kroków, a to jest wyjątkowa okazja, dostali akuratnie taki materiał, że palce lizać, i ten ładny pana syn będzie wyglądał jak fabrykanckie dziecko.

Ojciec nie zatrzymuje się, ale „łapacz" spokojnie idzie obok i z uśmiechem tłumaczy:

— Szanowny pan jest znudzony. Ja się nie dziwię. Tylu już panu to mówiło, że pan nie wierzy, i słusznie. Co oni tam mają. Szanowny pan coś oglądał? Nie. No widzi pan. A trzeba obejrzeć. To przecież nic nie kosztuje, to jest w tej bramie, ja pana bardzo proszę, niech pan wejdzie, pan zrobi mi przyjemność, to jest nadzwyczajna okazja...

Chwyta ojca za rękaw kurtki i zatrzymuje prawie siłą.

— Ja bardzo proszę...

Ojciec wyswobadza rękę, śmieje się i idzie dalej. Czeka już następny. Szczupły, blady, młody chłopak, najwyżej osiemnaście lat. Idzie razem równym krokiem i z melancholijnym uśmiechem skarży się:

— Pan nie wierzy w żadne okazje i bardzo słusznie pan robi. Synek pana potrzebuje mundur. Dostał się do państwowego gimnazjum, pan wybaczy, musi być bardzo zdolny i nie mogli go oblać. Trzeba mu kupić dobry mundur, to jego pierwszy i nie wolno panu szukać okazji. Za dobry towar, pan musi zapłacić dobre pieniądze...

Ojciec przygląda się temu blademu chłopakowi.

— Widzi pan, zainteresowałem pana. Ja znam swój zawód. Od razu poznałem, że pan szuka dobrej rzeczy i my takie mamy. Dobry materiał, dobra praca, to i dobre pieniądze trzeba zapłacić. Dobre pieniądze, ale dużo taniej niż gdzie indziej. Nasza dewiza: duży obrót, mały zysk. Pan wie, co my zarabiamy na takim mundurze? Nie wie pan. Pięć złotych. Tylko pięć złotych. Czy można mniej? Niech pan zrobi mi tę przyjemność i obejrzy, to tutaj...

Ojciec trzyma Michała za rękę i śmieje się głośno.

— Co jeden to lepszy. Tu okazja i tam okazja. Tam, bo wyprzedaż, tu wyjątkowa solidność. A w podwórzu pokażecie buble, niejednego już żeście nabili w butelkę — ojciec chce odejść, ale młodzieniec smutno dodaje:

— Pan nie wierzy, że u Żydów można dobrze kupić? Żal mi bardzo, że nie umiałem pana przekonać, a Żydzi też są różni. Są tacy, jak pan mówił, i oni nam szkodzą, my wiemy o tym, ale co robić. Pan wie, że wszędzie są różni ludzie, nawet w jednej rodzinie. Przykro mi, że pan tak myśli o wszystkich Żydach...

I młodzieniec bardzo poważny i bardzo smutny zatrzymuje się na skraju chodnika..

Ojciec nie przymuszony staje również i wesoło woła:

— Takiś smutny, że nie mogę ci odmówić. Pokaż ten mundur. Młodzieniec ożywia się momentalnie, idzie do przodu, ogląda się, wchodzi w bramę, znów ogląda się, prowadzi w podwórze, do prawej oficyny, po drewnianych zaśmieconych schodach na pierwsze piętro, potem w oświetlony żarówkami długi korytarz. Idąc za nim mijają ludzi — na podwórzu, na schodach, ruch nie mniejszy niż na ulicy... Młodzieniec otwiera drzwi, przepuszcza ich przed sobą i woła do środka:

— Panie Cypelbaum. Dla tego gimnazjalisty mundur, od razu najlepszy...

W środku pachnie nowym towarem i naftaliną. W bardzo dużym pokoju parę szeregów stojaków, na nich płaszcze, garnitury, mundury. Jest już tutaj kilka osób — ktoś przymierza ubranie, ktoś płaszcz letni. Pan Cypelbaum (to chyba on), gruby, niski, bez marynarki, w kamizelce, jest już przy nich, kłania się i z uśmiechem prosi dalej. Przechodzą bliżej okna i zatrzymują się przy stojaku z mundurami.

Michał patrzy i z podniecenia bije mu mocno serce. Tych, mundurów jest bardzo dużo, może sto, a może dwieście, ciasno jeden obok drugiego, jak kartki grubej książki.

Pan Cypelbaum taksuje wzrokiem klienta, bierze jeden z mundurów, poprawia klapy, wyciąga jakieś nitki, wygładza. Do Michała robi oko, jakby domyślał się, że ten mundur to jego marzenie i prosi o przymierzenie.

Michał ściąga marynarkę, ale pan Cypelbaum jest zgorszony — nie wolno mierzyć samej marynarki, trzeba włożyć również spodnie. Prowadzi go w kąt pokoju, gdzie jest parawanik i tam Michał zakłada mundur. Spodnie są chyba za krótkie, marynarka za obszerna. Trzeba przejrzeć się w lustrze. Z wypiekami na twarzy wychodzi zza parawanu, a ojciec wybucha śmiechem. Pan Cypelbaum jest obrażony.

— Dlaczego pan się śmieje? Syn pana potrzebuje inny numer — już się robi, to jest przystojny chłopak, wydawało się, że jest niższy.

Michał przymierza drugi mundur i znów staje przed lustrem. Pan Cypelbaum obciąga marynarkę z przodu i z tyłu, wygładza plecy i klapy, odchodzi dwa kroki i woła zadowolony:

— No. A teraz, co pan powie? Chłopak jak malowanie, a mundur pierwsza klasa, kamgarnowa wełna...

Michał patrzy i nie może się poznać. Widzi w lustrze wysokiego chłopca w długich spodniach, cała postać jakaś inna, poważna, obca. Wydaje się sobie znacznie wyższy i elegancki — ta postać w lustrze bardzo mu się podoba i serce bije znów mocno, niespokojnie, policzki są gorące...

— No. Co pan powie? — woła po raz drugi pan Cypelbaum. — Kazać pakować?

Ojciec śmieje się.

— Wygląda dobrze, bo chłopak jest do rzeczy, ale ten mundur to tandeta — pokazuje na Michała. — To mają być plecy, a to są wszyte rękawy — podnosi rękę Michała. — Widzi pan, jak to się ciągnie.

— To drobnostka, to już można poprawić.

— Nie trzeba poprawiać, bo ja tego nie wezmę — mówi ojciec — co za materiał, to ma być wełna, to nawet nie leżało przy wełnie, cały ten mundur sztywny jak z blachy. Zdejmuj, Michał.

Pan Cypelbaum rozkłada ręce.

— Dlaczego pan zaraz w gorącej wodzie kąpany. Komu się śpieszy? Mamy czas, pan nie kupuje co tydzień. Już się robi.

Klaszcze w ręce i woła:

— Panie Moryc.

Moryc już jest, a pan Cypelbaum poleca:

— Proszę dać ten mundur, co był przepasowany dla syna pana komisarza.

Moryc odchodzi, a on wyjaśnia:

— To jest okazja. Szyłem mundur dla syna komisarza — śmieje się. — Pan wie, to taki człowiek, jak w wojsku generał i przepasowałem, a to dla pana chłopaka będzie jak ulał, zaraz pan zobaczy.

Ojciec chce oponować, ale pan Cypelbaum już ściąga z Michała marynarkę i ciągnie go za parawanik.

I znowu widzi Michał w lustrze przystojnego chłopaka, który uśmiecha się, porusza z wdziękiem, obraca.

Pan Cypelbaum promienieje radością, woła pana Moryca i wykrzykuje:

— Patrz, Moryc. Czy można wyglądać lepiej. Sam cymes, palce lizać. Ten chłopak jak malowany, on się nadaje na modela, ja mogę zaangażować go na żywą reklamę, w nim się można zakochać.

Michał czerwieni się, a ojciec chodzi dokoła i ogląda.

— No, co pan powie?

Ojciec kręci głową.

— No, w tym mu lepiej i uszyty inaczej, ale fałdzi się na plecach. To można chyba usunąć.

Michał patrzy w lustro i modli się w duchu, aby to kupno doszło do skutku, mundur podoba mu się bardzo, spodnie są dobre, ładnie zaprasowane układają się na bucie prostą linią — marynarka jest zgrabna, nie za krótka, nie za długa, w sam raz. Żeby tylko się zgodzili, żeby to się nie rozeszło, żeby ten pan kupiec nie chciał za dużo i ojciec, żeby nie był zbyt uparty.

— Ile to ma kosztować?

— Czy to ważne — pan Cypelbaum macha ręką. — Dla takiego chłopaka nieważna cena, ja to mogę oddać za darmo.

— Ile? — ponawia ojciec.

— Oj. Jaki pan szybki, jaki gorący — patrzy na ojca i kładzie rękę na sercu. — Tak bez gadania, na dwa słowa, po męsku... 65 złotych.

Ojciec śmieje się.

— Pan oszalał chyba, albo ja się przesłyszałem.

W pana Cypelbauma jakby piorun strzelił z jasnego nieba — krzyczy do ojca:

— Pan oszalał, jeżeli pan myśli, że to drogo, pan oszalał, a nie ja. Pan się nie przesłyszał, 65 złotych i ani grosza mniej, niech mnie jasne kule biją.

Zdenerwowany krzyczy do Moryca:

— Słyszałeś na własne uszy. Ile powiedziałem. 65 złotych. Powiedz natychmiast, ile to było zgodzone. Mów, bo mnie krew zaleje.

— Pan komisarz miał dać 80 złotych.

— Kłamiesz. Miał dać 85. Urwał na sile te 5 złotych.

Doskakuje do ojca.

— Słyszy pan. 80 złotych. A ja daję za 65. Najlepszy materiał, najlepszy boston, bielski boston, po 18 złotych metr — trzyma ojca za guzik munduru i krzyczy dalej. — Pan wie, ile na takiego dryblasa trzeba, prawie tyle, co na mnie. To jest cały dorosły garnitur, a gdzie podszewka, i to jaka podszewka, najlepsza, atłasowa, a jaki atłas, aż się chce dotykać, jak mięso....

Krztusi się z podniecenia i ściąga marynarkę z Michała.

— Ja oszalałem. Pewnie, że oszalałem, taki mundur za takie pieniądze...

Ojciec mówi spokojnie:

— Przebierz się, Michał.

Przepadło wszystko — myśli i ze ściśniętym sercem idzie za parawan. Przebiera się. Ma żal do ojca. Przecież kupiec nie chciał dużo, jeżeli ten materiał tyle kosztuje. Ojciec czeka i kiedy Michał wraca, kierują się do wyjścia. Ale przy drzwiach jest już pan Cypelbaum.

— Pan wybaczy, że tak się uniosłem. Teraz handel to straszna rzecz. Wszystkim drogo, a przecież trzeba sprzedawać, musi być obrót, są podatki, ludzie chcą pracować. No, co pan proponuje?

— 40 złotych — mówi ojciec.

Pan Cypelbaum śmieje się.

— Szanowny pan raczy żartować.

— Nie. Tyle mogę dać.

Kupiec trzęsie się.

— Dlaczego nie powiedział pan trzydzieści, dwadzieścia pięć, ja wszystko wytrzymam.

— Może powiedziałem za dużo — spokojnie dodaje ojciec.

— Rzeczywiście, może za dużo. Ale niech pan się nie martwi. Pan nie kupi za 40. Pan nie kupi za 50. Za 55 to pan kupi i to ostatnie moje słowo — kupiec dramatycznie rozkłada ręce i przepuszcza ich — idą w dół po schodach.

Serce trzepocze, tyle wzruszeń. Co też ojciec myśli? Dlaczego taki uparty, dlaczego tak mało mówił, przecież ten kupiec nie może już taniej.

Wychodzą z klatki schodowej i idą podwórzem. Z góry ktoś woła. — Halo — w otwartym oknie wychylony pan Cypelbaum. — Jeden moment. Niech pan słucha. 50 złotych, ani grosza mniej, i żegnam pana.

Ojciec woła do góry:

— Daję 40 i niech pan bierze, bo się rozmyślę.

W górze zatrzaskuje się okno, a oni idą do bramy. Kiedy już mają wyjść na ulicę, dopada ich zdyszany pan Moryc.

— Proszę pana, jedno słówko. Tak nie można. Tam mojego szefa szlag chce trafić. Niech pan coś dołoży, mamy płatności — musimy sprzedać. On nie wie, że ja za panem poleciałem, ja na własną odpowiedzialność, mnie jego żal.

— 40 złotych — mówi ojciec.

— 45 daj pan i już.

— Nie — ojciec ciągnie Michała za rękę.

— Dołóż pan coś — Moryc trzyma ojca za rękaw.

— Nie. Nic nie dołożę.

— Asow. Bierz pan. Niech cholera weźmie ten handel. Pan trafił dzisiaj na dobry dzień, szef na jutro potrzebuje dużo pieniędzy. No chodź pan, mój pryncypał wścieknie się, ale trudno.

Ojciec zdejmuje rękę Moryca ze swojej.

— Teraz poczekajcie, zobaczę jeszcze gdzie indziej — śmieje się do osłupiałego Moryca i wyjaśnia:

— Jak nie znajdę nic lepszego, to do was wrócę.

Trochę dalej stają na chodniku przy jezdni i ojciec tłumaczy:

— Widzisz, z nimi nigdy nie wiadomo, kiedy przepłacisz. Żądają sto, a sprzedają za pięćdziesiąt. Chciał 65, a oddaje za 40, może za dużo powiedziałem, chociaż wygląda dobrze i szyty jest nieźle. Sami sobie szkodzą, można coś zacenić, bo ludzie lubią się targować, ale nie tyle, tu już nie jeden grubo przepłacił.

Michał rozumie to wszystko, może ojciec rzeczywiście ma rację, ale mundur, który już był tak blisko, znów się oddalił, przepadł na razie i nie wiadomo, co będzie dalej. Dlatego nieśmiało szepcze:

— On mi się bardzo podobał.

Ojciec klepie go po ramieniu.

— Wiem, Michaś. Już chciałbyś go mieć. Nie martw się, trochę cierpliwości, jeżeli nie znajdziemy nic lepszego, wrócimy tu.

— A jak sprzedadzą?

— Nie bój się, nikt tak szybko nie łapie. Ludzie oglądają pieniądze dwa razy. Ciężko jest, trudno zarobić.

Idą w stronę placu Wolności, a ojciec wskazuje ręką.

— Zwróć uwagę na te wszystkie sklepy, na nazwiska na szyldach — sami Żydzi. Tylko handel uznają, pracować nie lubią...

Nie wiadomo dlaczego, przypomina sobie w tej chwili bardzo wyraźnie tych dwóch żydowskich chłopaków na torze kolejowym, widzi jak biegną po nasypie, jak przysłania ich pociąg. Zupełnie tak samo wyraźnie, jak wtedy, w rozmowie z Jonsią. Ojciec mówi to samo, co ona, a przecież oni pracowali. Ojciec jest mądry, ale chyba nie zawsze ma rację, może się mylić, nikt chyba nie wie wszystkiego, i może to nie takie proste. Z panem Jóźwiakiem to też nie takie łatwe, a ten pan Cypelbaum był wcale przyjemny, każdy chce sprzedać jak najdrożej. Bednarze cenią za beczkę na rybku 30, a sprzedają za 20, czasem za 18, nie raz słyszał. A pan Okoń. Ciągnie za robotę ile się da, żąda 10, a sprzedaje za 8 i przysięga się na wszystkie świętości, by sprzedać...

Na placu Wolności wsiedli w tramwaj. Michał zapomniał o wszystkim i drży z podniecenia. Ojciec powiedział, że jadą do pana Nowaka, na Piotrkowską, przy Głównej. Zna ten sklep. Dziesiątki razy stercząc przy wystawie i patrzył na te cuda za szybą. Pan Nowak był specjalistą od mundurów szkolnych i szyneli. Mundur i szynel od niego to marzenie każdego ucznia. Ale te rzeczy są bardzo drogie i tylko nieliczni u pana Nowaka ubierali się. Z jego klasy tylko kilku, ci, co jadali bułki z szynką i polędwicą, ta „śmietanka", co chodzili osobno. Z gimnazjum Zimowskiego prawie wszyscy, ale tam, co tu porównywać — tam za szkołę trzeba płacić sto złotych miesięcznie, tam chodzą sami bogacze...

Tramwaj dzwoni, a Michałowi mocno stuka serce. Ojciec jest przy motorniczym i o czymś rozmawiają.

Wreszcie sklep pana Nowaka. Pan Nowak stoi za ladą i uśmiecha się. Jest bardzo miły. Nosi okulary i długą brodę, gdyby się przebrał byłby z niego świetny Mikołaj, zwłaszcza gdyby jeszcze roznosił mundury.

— Nic gotowego nie mam w tej chwili dla pana chłopca, ale można zrobić w ciągu dwóch tygodni.

— Tak — mówi ojciec. — A ile to kosztuje u pana?

Pan Nowak przygląda się ojcu zza tych swoich okularów i stale uśmiechnięty mówi:

— 65 złotych. Daję ten materiał — ściąga z półki rulon granatowego materiału — To dobry materiał, bielski boston.

Ojciec bierze do ręki odwinięty koniec materiału, gniecie go i pyta nieśmiało:

— Ile z tego odejdzie?

Pan Nowak wciąż z uśmiechem wyjaśnia:

— Ja nie cenię. Tyle u mnie kosztuje.

Michał stoi obok ojca i wie już, że nic z tego nie będzie. Tyle pieniędzy. Nie rozumie też ojca, który mówi zdecydowanie:

— To niech pan weźmie miarę.

Kiedy są na ulicy Michał jest szczęśliwy. Ojciec jest wspaniały. Taki wydatek dla niego, teraz, gdy im tyle potrzeba... Musi się opanować, by nie płakać z radości. Wzruszony szepcze:

— Dziękuję ci, tatusiu.

Ojciec obejmuje go ramieniem i śmieje się.

— Uspokój się, Michaś. Niech wiedzą w twojej szkole, że masz ojca, że nie wyleciałeś sroce spod ogona... tramwajarze też mają fantazję...

(Fragment powieści, którą przygotowuje do druku Wydawnictwo Łódzkie)

JERZY WALEŃCZYK

Inteligencja diabła

Mój podziw, moje uznanie,
Widzisz, głupieję z dnia na dzień.
A ty mądrzejesz diable,
Znowu jesteśmy sami.

Więsz, czego nie wiem, milczysz,
Czego milczeć nie mogę,
Kłamiesz, czego nie skłamię,
Głodny kle wilczy.

Wspinasz się ścianą stromą,
Wiesz dębem wysokim,
Płaczesz światem i niebem,
Nadciągasz przesłanką gorącą.

Mój podziw, moje uznanie,
Nie ma cię, a jesteś szarado,
Jakbyś nosił ubranie
Wyobrażeń wytartych.

Możesz się nie poruszać,
Wiem, jesteś w tej sali,
Rzeczy zjednałeś sobie,
Rzeczy mnie próbowały.

Wiem, będziesz i mnie próbował
Materią, nomenklaturą,
Perswazją, łagodną pointą,
Nierozkrzerzonym murem.

Raz więcej, raz mniej i ciszej,
Pielgrzymie nerwów i snu,
Turysto atawizmów,
Z neseserem argumentów.

Przyjdziesz dzisiaj wieczorem,
Cyfrą elementarną,
Drwiący i powiesz, George,
Na diabła ci to wszystko, na diabła.

STANISŁAW KASZYŃSKI

DWA WIECZORY NA PIĘTERKU

Dopiero teraz przystępuję do spisania spostrzeżeń ze spektakli w „7.15". Pomijałem dotąd tę scenę w swoich obrachunkach z oczywistych powodów. Chciałem odczekać, pozostawiając trochę czasu nowej dyrekcji na wstępne przynajmniej uformowanie osobowo — artystyczne całości. Przed kilku miesiącami, kiedy podawane zrazu szeptem wieści o mającej nastąpić fuzji skonkretyzowały się ostatecznie w nieodwołalną decyzję aneksji, ten i ów z naszej branży pismackiej zabierał głos, zgłaszał rozmaite wątpliwości i obawy. Nazbierałem i ja wiązkę sprzeciwów, kierując się niczym innym jak zwykłą troską o los teatrzyku, który zawsze mnie żywo obchodził, i pod znakiem sentymentu tolerowałem wytrwale jego chimeryczny żywocik.

Jeśli wiernie powtarzam treść naszych ówczesnych biadoleń, to bodajże nie uwzględniliśmy wówczas jednego ważkiego czynnika który już jakoś waży i będzie prawdopodobnie jeszcze silniej się zaznaczał w „7.15". A mianowicie, że filia zawsze korzysta z zasobów centrali, a centrala dysponuje, jak wiemy, gromadą wyśmienitych aktorów. Czy to aby wystarczający atut, pozwalający z góry przesądzać o pomyślnym wyniku tej partii? Odnotowaliśmy już kilka cennych punktów, śledząc grę na dużej szachownicy przy ul. Jaracza 27. Znamy grę, jej zasady, jej uczestników, raczej spokojni o jej dalszy przebieg. Na małej natomiast szachownicy, mimo rozpoczęcia gry, mimo zaufania, które udzielamy jej partnerom, trudno zaiste teraz powiedzieć, co to będzie za gra. I równie trudno wyrokować, czy posiłki które pośpieszą z centrali, sprostają nowym, jakże innym w gruncie rzeczy — obowiązkom.

W dwóch dotychczasowych spektaklach mamy tyleż propozycji. Pierwsza pochodzi z XIX-wiecznego teatru z jeszcze starszym, bo oświeceniowym rodowodem (ogniwo walki obyczajowej kontusza z frakiem czyli sarmackich wąsów z francuską peruką i golizną lica), druga propozycja, o wiek późniejsza ale zahaczająca jeszcze o schyłek tego stulecia, o jego „belle époque", z całkiem innym zgoła stemplem, bo francuskiego teatru bulwarowego. Ich odrębność przy tożsamych nieomal wątkach obyczajowo-matrymonialnych bije ośleple w oczy, odciska się dobitnie i w stylu obyczajowym i w formie gatunkowej i w tradycji scenicznej. Powiedzmy sobie, iż z tego i owego metier coś już tutaj oglądaliśmy: sienkiewiczowskiego „Zagłobę swatem" i tegoż Hennequina od „Kłamczuchy"—„Panią prezesową". Trzecia zapowiedziana pozycja (przegląd inscenizowanych szlagierów z myszką) nakłada kolejną parakabaretową warstwę. Jak zatem układają się perspektywy?

Wydaje się, że: 1) albo zostanie utrzymany typ teatrzyku o ledwie osmozujących rodzajach (nie stop a przekładaniec), albo 2) po serii zwiadów ankietowych i po skoncentrowaniu sił i środków wykrystalizuje się dość jednolity tzw. profil. Pierwsze rozwiązanie jest stosunkowo łatwe, drugie — bardziej skomplikowane, i to niezależnie od wyboru jednego z możliwych wariantów. W takich przełomowych momentach powiada się nieodmiennie: przyszłość pokaże, składa się życzenia wszelkiej scenopomyślności i — stawia kropkę. I — ad rem.

Z ogromną przyjemnością słuchałem i oglądałem śpiewogrę, chyba przez wyjątkową czułość dla starej piosenki, którą rekompensuję sobie — taki już jestem staroświecki! — niedosyt z mimowolnego odbierania produkcji bitbeatowych wyjców. Ale w „Szkoda wąsów"*) piosenka splata się z fabułą nasłonecznia ją, uskrzydla i bierze słowną dykteryjkę w miłosny nawias, bez czego wiałaby banałem. Tym dźwięcznym nawiasem otoczył twór niestrudzony Imć Dmuszewskiego niezastąpiony Leon Schiller. Jest jeszcze jedna przeurocza klamra: Arlekin, psotnik, tanecznik, pomocnik, wszędobylski duszek! Co za poetyckie, cienkie przestosowanie we współczesność! To za jego, Arlekina staraniem, śpiewogra zyskała blask kolorowej, rozwirowanej, psikusnej commedia dell'arte. Niosło się to wszystko ze sceny: ze scenografii p. Z. Strzeleckiego, z układów tanecznych p. B. Fijewskiej, ongiś przecie podpatrujących mistrza i w jego szkole edukowanych, o ład i tempo zadbała p. I. Czaykowska. Troszeczkę żałowałem, iż tym klejnocikiem muszę się delektować w dość skromnej oprawie i na maleńkiej przestrzeni. Żalem obejmuję i aktorów: jakże wodzić poloneza, skoro nie ma gdzie dziarsko przytupnąć! Właśnie — dziarskość i świeżość, wigor i młodość, i jowialność, soczystość, rubaszność, zamaszystość. Można by dwoma szeregami tych określeń określić aktorstwo grupy „nowatorów" i „obskurantów". Najpełniej zajaśniała, jak się zdaje, p. A. Krawczykówna (Dorota), zwinna, trzpiotowata, szelmutka, wdzięk plus temperament, który groził jej prawie kozłem w peruki muzykantów. I p. A. Herder (Arlekin), który rozporządzając słuszną aparycją i gibkością ciała, zręcznie potrafił sprostać swym filuckim misjom.

Przeskok w okolice bulwaru. Jest to teatr znacznie trudniejszy do zrobienia niżli sądzimy. Warunkują go dwa żelazne rygory: precyzja (wg reguł matematycznych) wykonania i — aura widowni. Kiedy przypomnieć, że inna wielkość paryskiego teatru bulwarowego, Georges Feydeau, trzy miesiące próbował swoje wodewile, nanosząc na partyturę znakami nutowymi pauzy, fermaty i wysokość tonu ważniejszych replik i kreślił na egzemplarzu pedantyczne wskazówki dla obsady, a później ze stoperem w ręku ustalał czas opuszczania i podnoszenia kurtyny, to, mili, stwierdźmy z melancholią, iż ta sztuka wyprowadzana z detalu czyli sztuka detalu przestała być mocną stroną naszego teatru. Krótko mówiąc, chodzi o „reżyserię wesołości" o kreację zabawy w najdosłowniejszym znaczeniu. Toteż wskazaniem na brak doświadczeń, na zaniechanie treningu w tej dziedzinie (lekce sobie ważymy ten teatr, tak!) usprawiedliwiałbym poprawność spektaklu „Kłamczuchy"** Starannie to nawet ustawił p. F. Żukowski, nie pogłębiając tej błahostki w kierunku obyczajowej demaskacji, ani nie szukając wzorca wiernej żony, a nasz paryżanin, p. H. Poulain ze znawstwem opakował co widać również po rynsztunku programu, a jednak są „miękkie" miejsca; garść uwag w związku z tym o aktorstwie. Przyjęło się u nas traktować farsę jako sztukę odrobinę sprośną, „pieprzno — szafranną", zszywaną wulgarnym ściegiem, skąd wypędzono subtelny żart, gdzie nie ma finezji dialogu, elegancji ruchu i zachowania. Obserwując od lat p. J. Ćwiklińskiego i odpowiednio długo go ceniąc, spostrzegam, że zaczyna ulegać tym mniemaniom o swojej praktyce scenicznej. A przecież doskonale czuje ten genre, ma ten specyficzny wdzięk komizmu bulwarowego, jest nadto w swej zaokrąglającej się tuszy bardzo koneserski, coś ze smakosza i bon-viveura. Jego Filip Serin świetny jest tylko w sylwecie, traci natomiast na wyrazistości, gdy wchodzi w akcję, gdyż pogrubia gest, zaciera poszczególne przejścia mimiczne, zrywa i tłamsi tok dialogu.

Zauważył już trafnie p. M. Jagoszewski w „Dzienniku Łódzkim" pewną niedyspozycyjność do farsy p. A. Kulików ny. Streszczając wyżej swoje obawy co do powodzenia aktorów z centrali na deskach „7.15", potwierdza częściowo casus Lili Hervier: nie wyzwala ze swego postępowania tej dozy śmieszności i kokieteryjnego onieśmielenia, które tętnią w roli.

Zacytuję jeszcze p. J. Andrzejewską (J. Villier). Ogromnie mnie rozweseliła p. H. Boratyńska (Dziewczyna od praczki). No — tak ujarzmiać postać otwarciem gęby (za przeproszeniem Pani!). Duże brawa!

Scena z „Kłamczuchy".
Fot. Fr. Myszkowski

7.15 (Druga Scena Teatru Jaracza: Ludwik Adam Dmuszewski — Leon Schiller, Szkoda wąsów, komedio-opera, reż. Irma Czaykowska, scenogr. Zenobiusz Strzelecki, muz. Feliks Rybicki, choreografia Barbara Fijewska; I premiera sezonu 1965/66; Maurice Hennequin, Kłamczucha, farsa w trzech aktach, przekł. Hanna Pieczarkowska, reż. Feliks Żukowski, scenogr. Henri Poulain, prem. 23 grudnia 1965.

LUDMIŁA GUTKOWSKA

List z Warszawy

Co w najbliższej przyszłości będzie godnego na naszych ekranach?

Ze wszystkich dotychczasowych komedii sensacyjnych Philippe'a de Broki ta jest najbardziej dynamiczna, najświetniejsza i najlepiej grana. Rej wodzi tu Jean Paul Belmondo na tle wspaniałego Rio de Janeiro fotografowanego przez Edmonda Séchana. Śliczna Francoise Dorléac, doskonały aktor charakterystyczny Jean Servais i urocza Simone Renant uzupełniają obsadę. Karkołomne wyczyny J.P. Belmondo budzą zachwyt, jak choćby scena spadania na spadochronie wprost do przepastnej paszczy krokodyla. Belmondo zapisuje się w naszej pamięci jako wspaniały kaskader w tym filmie pt. „Człowiek z Rio".

Szkoda, że nie my wykorzystaliśmy wielki talent Idy Kamińskiej. Zrobiła to za nas Czesi w filmie Kadara i Klosa „Sklep przy głównej ulicy". Znakomitej aktorce rola przyniosła zasłużone wyróżnienie w Cannes, a czechosłowackiemu filmowi nowy liść wawrzynu. Film ten dąży od założeń na wskroś realistycznych do niekłamanej i wzruszającej poetyki. Dzieło trzeba zobaczyć, bo okupacji w takim świetle jeszcze nie oglądaliśmy na ekranie.

Vilgot Sjöman należy do młodego pokolenia realizatorów szwedzkich, którzy pozostając pod wpływem Bergmana nie starają się jednak jego imitować, lecz szukają nowych dróg, chociaż nie zawsze nowych aktorów. Uroczą bohaterką „Kochanki" jest doskonale nam znana Bibi Andersson, nagrodzona za tę rolę na MFF w Berlinie w 1963 roku. Jej partnerem jest nie mniej znany Max von Sydow w roli naukowca — wykładowcy. Tylko rolę młodego studenta gra debiutant — Per Myrberg. Ten film otworzył mu drzwi do kariery.

„Złodziej brzoskwiń" — udany film bułgarski reprezentował swój kraj w Wenecji z niemałym powodzeniem. Wybitny film reżyserii Wylo Radewa przedstawia trudną i tragiczną miłość w okresie pierwszej wojny światowej. W głównej roli Niwiena Kokanowa, pierwsza lady bułgarskiego filmu.

Mówi się ironicznie „gdzie kucharzy sześć...", a cóż może się stać, gdy aktorów czterdziestu?! Okazuje się, że jeśli grę prowadzą tacy mistrzowie, jak Ford, Hathaway i George Marshall, to mamy do czynienia z bajecznym widowiskiem (niestety dla nas w ubogiej wersji „Cinemascope", zamiast „Cineramy"). Grają m.in. Carrol Baker, Debie Reynolds, John Wayne, Gregory Peck, George Peppard, Raymond Massey, Richard Widmark, Henry Fonda, Eli Wallach, James Stewart i inni. Tytuł: „Jak zdobyto Dziki Zachód". Atak stada bawołów i zasadzka na pociąg — to sceny niezapomniane.

Kto po „Co się zdarzyło Baby Jane" lubi ostry, bezkompromisowy styl Aldricha zobaczy z przyjemnością film „Ostatni zachód słońca" z udziałem Kirka Douglasa, Rocka Hudsona, Josepha Cottena, Dorothy Malone i ślicznej, nowej gwiazdki Carol Lynley.

Okazuje się, że bydło — które prawie nie schodzi z ekranu w tym filmie — może być niesłychanie fotogeniczne, jeśli służy wybitnemu scenariuszowi. A scenarzystą jest Dalton Trumbe, jeden z postępowych pisarzy Hollywood, którego nazwisko świeci dziś pełnym blaskiem.

Dokonałam wyboru dość dowolnego, który można równie dowolnie podważać. Lista propozycji jest poza tym na pewno niepełna. Nie wiem jednak czy to wada.

W salach warszawskiej „Zachęty", na wystawie prac wybitnej rzeźbiarki pokazano wszystko, cokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek artystka zrobiła, także jej pejzaże i tkaniny. I co? Właśnie — nic. Ludzie podziwiali niesłychaną energię i pracowitość rzeźbiarki, ale równocześnie nie bardzo rozumieli dlaczego uchodzi za wybitną...

To wielka sztuka wiedzieć, jak wszystkim dogodzić.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

TEORIA BADAŃ LITERACKICH ZA GRANICĄ

Parę miesięcy temu ukazała się książka, która powinna zainteresować nie tylko specjalistów, ale każdego, kto pragnie głębiej wniknąć w sprawy związane z dziełem literackim i z literaturą w ogólności [1]). W tej chwili mamy możność zapoznania się z pierwszym woluminem pierwszego tomu tej edycji stanowiącej w swoim charakterze zupełne novum w polskich wydawnictwach z tego zakresu. Stanowić ona będzie niewątpliwie bardzo ważną publikację dotyczącą nauki o literaturze, ważną przede wszystkim dla polskich badaczy tej dziedziny, którzy do tej pory korzystać musieli jedynie z opracowań zagranicznych.

Mowa tu o antologii tekstów z zakresu metodologii badań literackich za granicą, antologii opracowanej i wydanej przez prof. dr Stefanię Skwarczyńską. Dwa tomy (4 woluminy) tej książki obejmować będą wybór tekstów metodologicznych od romantyzmu do dwudziestolecia międzywojennego włącznie. Dotychczas ukazała się pierwsza część początkowego tomu, która zawiera teksty teoretyków literatury romantyzmu oraz przedmarksowskiej rosyjskiej szkoły realizmu. W większości są to rzeczy nie tłumaczone dotychczas na język polski i już chociażby z tego względu omawiana edycja zyskuje na wartości. Dodać należy, że te krytyczne i naukowe przekłady dokonane zostały w sposób mogący zadowolić współczesnego czytelnika i specjalistę.

Antologia, o której mowa, obejmuje ten okres czasu, na którego początku ukształtowała się myśl teoretyczna zrywająca, a raczej przeciwstawiająca się tradycyjnej filologii klasycznej ugruntowanej przez wiek XVII i XVIII. Zerwanie to zostało spowodowane poprzez „wkroczenie" do literatury twórczości ludowej. Dla współczesnych jest rzeczą zupełnie oczywistą, że twórczość ludowa jest dzisiaj integralnym składnikiem całości dorobku literackiego danego kraju. Jednak trzeba zdać sobie sprawę z tego, że jeszcze w pierwszych latach XIX wieku było to herezją nie lada.

Pierwszym uderzeniem w bastion skostniałej filologii było wydanie w Anglii przez Thomasa Percy'ego w roku 1765 „Zabytków staroangielskiej poezji". W ślad za tą publikacją w innych krajach rozpoczyna się ogromne zainteresowanie rodzimą twórczością ludową. Najbardziej zaznacza się to w Niemczech, gdzie preromantyczna szkoła „burzy i naporu" steoretyzowała i usankcjonowała nową myśl krytyczną. Największe zasługi w tej dziedzinie położył patron „Sturm und Drangperiode" — J. G. Herder. Jego wydanie w latach 1778—1779 „Pieśni narodowych" oraz jego prace krytyczno-literackie stworzyły podstawę dla ukonstytuowania się kierunku tzw. krytyki organicznej, której myśla zapłodnieni zostali wszyscy wielcy pisarze romantyczni w Europie począwszy od Goethego i Schillera aż do Victora Hugo i Mickiewicza.

Krytyka organiczna nie tylko że związała silnie dzieło literackie z jego twórcą, ale również podkreśliła znaczenie „ducha narodowego", który przejawia się w literaturze każdego kraju. Poza tym, traktując język jako „współwyraz ducha narodowego", szkoła organiczna stworzyła zalążki tak bardzo rozwiniętych dzisiaj badań językoznawczych. Na tym polu pionierami stali się dwaj kontynuatorzy myśli herderowskiej — W. Humboldt i J. Grimm. Ten ostatni (wraz ze swoim bratem — Wilhelmem) wsławił się również odszukaniem oraz wydaniem bogatych zbiorów starych niemieckich baśni, legend i pieśni.

W Anglii — ze względu chyba na olbrzymi wpływ potężnych indywidualności poetyckich — krytyka romantyczna zwróciła uwagę przede wszystkim na sprawę geniuszu i oryginalności w poezji (E. Young. S. T. Coleridge). Trzeci z prezentowanych w omawianej antologii krytyków ze szkoły angielskiej — W. Hazlitt — jest przedstawicielem znamiennego dla krytyki romantycznej kierunku biograficzno-psychologicznego, który w swoim aspekcie analitycznym silnie starał się związać dzieło z jego twórcą. Kierunek ten na gruncie francuskim reprezentuje jeden z najznakomitszych krytyków wszystkich czasów, Ch. A. Sainte-Beuve, któremu drogę utorowali — przenosząc myśl romantyczną do Francji — Madame de Staël oraz F. Villemain.

Jeszcze w końcu I połowy XIX w. potężna myśl Hegla spowodowała niejako ustąpienie kierunku krytyki organicznej. Nie znaczy to jednak, że myśl stworzona przez tę szkołę nie wyda owoców później: już pod koniec tegoż wieku odrodzi się ona w neoromantyzmie. Jak pisze prof. Skwarczyńska „można stwierdzić, że kierunek organiczny romantycznej krytyki w bogactwie swych rozgałęzień okazał nieprzerwaną żywotność przez pełne dwa stulecia".

W ramach szkoły wyrosłej z filozoficznego systemu Hegla można wyróżnić dwa kierunki. Pierwszy z nich, rozwijający się głównie w Niemczech, nawiązał do idealistycznych koncepcji swojego mistrza o wcielaniu idei w byt rzeczywisty (a więc — w danym wypadku — wcieleniu idei piękna w sztukę). Niemniej dialektyka heglowska stała się podstawą dla kierunku historyczno-filologicznego w badaniach literackich, który w książce reprezentują fragmenty z dzieł W. Wackernagla, G. G. Gervinusa i H. Hettnera.

Dialektyka heglowska, która z jednej strony była powodem powstania najróżnorodniejszych koncepcji idealistycznych w badaniach literackich, z drugiej strony umożliwiła powstanie kierunku, do którego nawiąże później i do którego nawiązuje jeszcze dzisiaj, krytyka marksistowska. Mowa tu o przedmarksowskiej rosyjskiej szkole realizmu, która reprezentuja w antologii dwaj jej naczelni teoretycy: W. G. Bieliński i N. G. Czernyszewski. Przejawszy od Hegla dialektyczny schemat rozwoju rzeczywistości, ale odwróciwszy tezę o realizacji rozumu w bycie na rzecz tezy o zdeterminowaniu świadomości i myśli człowieka przez rzeczywistość istniejącą obiektywnie — przedmarksowska szkoła realizmu traktowała dzieło literackie bądź jako **wyraz** tej rzeczywistości (Bieliński), bądź jako jej **odbicie** (Czernyszewski). Wszelkie konsekwencje tej postawy kontynuowane są w dzisiejszej krytyce marksistowskiej.

Tyle zawiera omawiana książka; druga część tego tomu objąć ma metodologię pozytywistyczną, krytykę subiektywną i kierunki postpozytywistyczne; natomiast tom drugi antologii prof. Skwarczyńskiej obejmie czasokres od przełomu antypozytywistycznego do r.1939. Kontynuacją tego wydawnictwa będzie przygotowywana również przez Bibliotekę Studiów Literackich przy Wydawnictwie Literackim książka pt. „Współczesna teoria badań literackich za granicą" w opracowaniu H. Markiewicza. (Warto tu przypomnieć także o wydanej kilka lat temu przez to samo Wydawnictwo „Teorii badań literackich w Polsce"!).

Omówiona powyżej pozycja wydawnicza daje przykład jednego z licznych rodzajów działalności naukowej prof. Stefanii Skwarczyńskiej — pracy wydawniczej. Rozprawa wstępna jej pióra zawarta w tej książce daje natomiast szlachetną próbę jej twórczości naukowej. Przed każdym z reprezentowanych w antologii autorów umieszczona jest informacja o ich życiu, twórczości i działalności, informacja daleka zresztą od encyklopedycznych ogólników. Oprócz tego znajdziemy tutaj niezwykle cenną bibliografię przedmiotową zawierającą spis najważniejszych pozycji naukowych dotyczących prezentowanego w książce autora.

Pierwszy tom omówionego w niniejszej recenzji dzieła został wydany przez prof. Stefanię Skwarczyńską w jubileuszowym 40 roku jej pracy naukowej, społecznej i dydaktycznej. W najbliższych dniach ukaże się na półkach księgarskich III tom jej głównego dzieła z zakresu teorii literatury. Mowa tu o podstawowym — nie tylko dla nauki polskiej — dziele pt. „Wstęp do nauki o literaturze", którego dwa pierwsze tomy wyszły w r. 1954. Tom III obejmuje problematykę genealogiczną literaturoznawstwa, czyli naukę o rodzajach literackich.

W styczniu br. na Uniwersytecie Łódzkim uroczyście obchodzono jubileusz wielkiej uczonej, która od przeszło trzydziestu lat związana jest z naszym miastem. Na uroczystości tej wręczono Jubilatce egzemplarz dedykowanej jej XX serii „Prac Polonistycznych", łódzkiego pisma naukowego wychodzącego od 1937 roku, pisma, którego założycielką była właśnie prof. Skwarczyńska. Mający się wkrótce ukazać nowy numer „Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Łódzkiego" zawierać będzie prace jej licznych uczniów oraz pracowników prowadzonej przez nią Katedry Teorii Literatury, w której skład wchodzi także jedyny w Polsce Zakład Wiedzy o Filmie.

Wspomniany wyżej jubileusz prof. Stefanii Skwarczyńskiej był wielkim świętem całej nauki polskiej. Z niecierpliwością czekać będziemy na dalsze prace naukowe wielkiej łódzkiej uczonej.

[1]) **Teoria badań literackich za granicą. Antologia. Wybór, rozprawa wstępna, komentarze Stefanii Skwarczyńskiej. T. I: Romantyzm i pozytywizm, Cz. I: Kierunki romantyczne i przedmarksowska rosyjska szkoła realizmu. Kraków 1965, Wyd. Literackie.**

CZYTELNICY o „ODGŁOSACH"

Józef Żmurko, rencista: Jako czytelnik „Odgłosów", prawie od ich narodzin, stwierdzam, „Odgłosy" dla mnie są jak ekran, który mi ukazuje arcybogatą treść wiadomości z bliskiego podwórka, jak i ze świata. Tak szeroki zestaw artykułów dobrych i ciekawych, jakie „Odgłosy" dają czytelnikowi, to mogą inne tygodniki pozazdrościć!

Byłoby bardzo pożądane aby „Odgłosy" mogły częściej poświęcić miejsca dla naszej sceny. Przecież Łódź ma kilka teatrów.

Niech „Odgłosy" nie skąpią miejsca poezji (nie tej, nowoczesnej) tylko zapomnianej, tej naszej starej poezji, to dla mnie z b r o d n i a.

* * *

Zdzisław Kosecki, student PL — Łódź. Zbyt mało miejsca poświęcają „Odgłosy" problemom techniki. Więcej chciałbym czytać reportaży ze świata filmu.

* * *

Rozalia Utratna, bez zawodu — Mała Wieś. Świetne pismo, jedno z lepszych w kraju.

* * *

Tadeusz Szewczyk, student filologii: — Łódź. Za mało o malarstwie i fotografii artystycznej, za mało humoru.

* * *

Walenty Zawiła, ekonomista: — Szczecin. Pismo „Odgłosy" jest dobre, ale ma szansę być lepszym — b. dobrym.

* * *

Jacek Zebrowski — Łódź, lakiernik: Zbyt mało reportaży lub felietonów na tematy „wybitnie łódzkie". Ogólnie „Odgłosy", stanowią dla mnie lekturę „nr 1".

* * *

Zdzisław Brdoń, technolog — Warszawa. Więcej i lepszych artykułów na temat **Łodzi** i regionu łódzkiego.

* * *

Kazimierz Pasek, prac. umysłowy — Pajęczno. Nigdy gazeta nie spełni swego zadania jeśli m. in. nie będą jej redagować ludzie z terenu, jeśli gazeta nie będzie mieć swych korespondentów.

* * *

Teodor Ziegler, urzędnik — Łódź. Poziom bardzo się poprawił od roku.

* * *

Józefa Śmieszek, pracownik pocztowy. — Wrocław. Brak satyry, krótkich form (aforyzm, fraszka).

* * *

Witold Grzyb, technik: — Małęczyn. Moim pragnieniem jest aby „Odgłosy" poruszały tematy z dziedziny starożytnych kultur, antropologii oraz kształtowania się i rozwoju religii (magia) i zwyczajach innych narodów. Od roku jestem stałym czytelnikiem tak ciekawego pisma, jakim są „Odgłosy" i dlatego korzystając z możności wypowiedzenia się na temat wartości pisma pragnę wyrazić szczere słowa uznania i zachwytu nad trafnością doboru tematów. Ciekawe problemy, zagadnienia poruszane w „Odgłosach" zadecydowały o tym, że ja i wielu moich znajomych stało się stałymi czytelnikami „Odgłosów".

* * *

Tadeusz Perliński, prac. umysłowy — Łódź. Pozwolę sobie przekazać kilka uwag, jakie mi się nasuwają przy czytaniu „Odgłosów" i wypełnianiu ankiety: 1) Zbyt mało drukuje się fragmentów powieści lub innych utworów literatów łódzkich przed ich wydaniem książkowym, 2) Dlaczego nie drukuje się artykułów naszego łódzkiego i b. cenionego literata p. Piechala? 3) Recenzje książkowe są dobrze opracowane lecz zbyt późno i nie mają praktycznego znaczenia dla wielu czytelników, ponieważ tych książek kupić już nie można, 4) należy więcej pisać o filmie i teatrze i to przed premierami w celu przygotowania widzów do właściwego odbioru tego co mają zamiar oglądać, 5) umieszczenie kącika humoru z kawałem tygodnia na pewno przyczyniłoby się do uatrakcyjnienia czasopisma.

Ciekaw jestem dlaczego ankieta nie obejmuje strony graficznej pisma i wartości zamieszczanych zdjęć. Czyżby one były, zdaniem redaktorów, tak doskonałe?

Dobre są rysunki pp. Kondka i Śniadeckiego.

Celem bliższego zapoznania czytelników z dawną i współczesną historią naszego miasta, proponuję zamieszczanie artykułów, wielkości pół kolumny, o początkach rozwoju i obecnej pracy poszczególnych zakładów przemysłowych, instytucji, szkół itd. Z bogatą historią mamy wiele zakładów jak np. ZPB im. Sz. Harnama, liczące ponad 100 lat i wykazujące dużą żywotność. Może warto nad tą propozycją się zastanowić?

* * *

Wiesław Walczak, uczeń — Łódź. Drukujcie nowelki kryminalno-fantastyczne. Nie zamieszczajcie ilustracji drastycznych, bo mama nie każe mi wtedy czytać kochanych „Odgłosów".

* * *

Adolf Stanisławski, rolnik — Babice. O połowę mniej poezji i ze świata filmu. Trochę więcej artykułów o tematyce wiejskiej i rolniczej.

* * *

Jerzewski Karol, prac. umysłowy — Łódź. Powiększenie pisma o dalsze 4 strony.

* * *

Wiesław Bielecki, monotypista — Łódź. Niektóre numery są nudnawe.

* * *

Rudnicki Zdzisław, ekonomista — Łódź. Za mało uwagi na szatę graficzną.

* * *

Janusz Proce, inżynier mech. — Łódź. Piszcie więcej o nauce i technice (XX w.!).

* * *

Bolesław Werner, krajacz w poligrafii — Łask. Pismo b. dobre, prosimy o dobrą ciągłą powieść.

* * *

Bernard Deja, elektromonter — Mysłowice. Uruchomić kącik zagadek z małą krzyżówką.

* * *

Buczek Marek, uczeń — Łódź. Mniej zagadnień ekonomicznych, więcej recenzji filmowych i dobrych (jak dotychczas) zdjęć.

* * *

Czesław Kantorczyk, student — Opole. W tygodniku więcej miejsca poświęcić poetom i pisarzom debiutującym, choćby tym z korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy ZW ZMW. Więcej poruszać problemów województwa. Świetne są reportaże. Podoba mi się rubryka mikroportretów, ale tylko 2 w jednym numerze. Bardzo dobre felietony oraz świetne nowele kryminalne. Dawniej lepsze były rubryki filmu i telewizji. Pogorszyły się. Szata graficzna pisma — dobra.

* * *

Roman Gawrysiak, prac. umysłowy — Tomaszów Mazowiecki. Jako stały czytelnik „Odgłosów" nie mam podstaw do negatywnego ustosunkowania się do artykułów zamieszczonych w ankiecie, dochodząc do wniosku, że każdego człowieka przytoczone artykuły winny bezwzględnie interesować. Gdyby była możliwość pożądane by było zamieszczanie kroniki dotyczącej miasta Łodzi, które ma dość bogate tradycje rewolucyjne, gospodarcze i kulturalne. Ponadto muszę nadmienić, że jako korespondent korzystam z artykułów Waszego pisma w rozwiązywaniu trudnych dla mnie problemów związanych z moją tematyką.

* * *

Jadwiga Solarek, laborant medyczny: — Łódź. „Odgłosy" — bardzo ciekawe pismo, trochę skąpo o problemach obyczajowych, więcej o filmie.

* * *

Jan Janicki, nauczyciel: — Łódź. Za mało uwagi poświęca się sprawom oświaty i wychowania, a szczególnie od lat 7 do 18.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weź mie udział w losowaniu nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do dnia 10 marca br., do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96, III p.

	+	—
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże ze świata		
opowiadania pisarzy polskich		
przekłady z języków obcych		
fragmenty powieści		
poezja		
publicystyka kulturalna		
recenzje książkowe		
ze świata filmu		
sprawy telewizji		
sprawy teatru		
felietony		
nowela kryminalna		

Miejsce na Twoje inne uwagi o piśmie:

Nazwisko i imię .....

wiek .....

zawód .....

adres .....

KRONIKA Antytelewizyjna

PRZYGODY TEATRALNE

I oto znowu zetknęliśmy się z twórczością wybitnego poety hiszpańskiego, Federico Garcia Lorca (1898—1936), niewątpliwie należy u nas do najbardziej znanych pisarzy, reprezentujących literaturę hiszpańską.

Lorka to pisarz wszechstronnie utalentowany, nawet muzyk, nawet malarz, nawet reżyser w jednej osobie, ale przede wszystkim poeta. (PIW wydał w 1963 roku monografię Lorenza „Federico Garcia Lorca" i każdemu można ją polecić). Gdyby ktoś żywił co do tego wątpliwości, „Panna Rosita czyli Mowa kwiatów", sztuka, której motywem jest popularny sekstet o mowie kwiatów, najlepiej tego dowodzi. Gdyby rozpatrywać ją jako konstrukcję dramaturgiczną, łatwo dałoby się zgromadzić wiele słusznych zarzutów. Ale jeszcze raz okazuje się, że utwór literacki, gdy zawiera jakąś prawdę lub pasję, zawsze się obroni, niezależnie od konwencji i mody.

Przedstawienie było udane, aktorki dramatu wyszły zwycięsko z trudnej sytuacji, wymagającej pokazania przemiany biologicznej. Szczególne pochwały należą się Aleksandrze Śląskiej jako bohaterce tytułowej, Hannie Skarżance jako ciotce, Barbarze Rachwalskiej jako gospodyni. Z przyjemnością należy dodać, że nikt nie zawiódł, uzyskały właściwą wymowę zarówno partie liryczne jak i satyryczne. W partiach końcowych dokonałbym kilku skreśleń, gdyż wydaje mi się, że dramat zyskałby na zwartości.

Miniony tydzień upłynął pod znakiem teatru: należałoby się jeszcze tylko upomnieć o „Studio 63", I, mimo wszystko, o jakąś wielką przygodę teatralną...

Młodziutki monter w bluzie, jak się zdaje, harcerskiej, wchodzi do pustego pokoju redakcji pisma dla... nastolatków. Chce naprawić... czynny telefon. Ujrzawszy leżące na biurku listy do redakcji, wyjmuje je z kopert i czyta, a potem bezceremonialnie zaopatruje w dopiski. Psując czynny telefon, opowiada o swojej szkolnej miłości. Oto treść monologu, wygłoszonego w „Teatrze Jednego Aktora" we środę 9. II. 66. Podobno dla młodzieży w wieku szkolnym. Biję się w piersi:: nie potrafię znaleźć uzasadnienia dla tego monologu, aczkolwiek psucie różnych urządzeń przez przedstawicieli przedsiębiorstw usługowych jest mi dobrze znane!

„Sfinks" przedstawił nam kolejne widowisko fantastyczne pióra A. Minkowskiego. Teatr sensacji traktujemy inaczej niż teatr dramatu. Widowisko było potoczyste, rozwijało się konsekwentnie, umotywowano nawet postawy bohaterów, wyróżniłbym Wojciecha Pilarskiego, któremu należałoby się więcej uwagi, jest aktorem wszechstronnym, zasługującym w naszym mieście na szerszą publicity, przecież to sugestywny Pankracy z „Nieboskiej"... itd.

„Wyboje" z Katowic według opowiadania cenionego i u nas pisarza radzieckiego średniego pokolenia, Włodzimierza Tendriakowa, znowu skierowały nas ku zjawisku znieczulicy społecznej. Zaadaptowane dla przedstawienia opowiadanie miało swoje mielizny, jednak aktorzy dobrze wywiązali się z zadania, byli, co u nas nie tak często się zdarza, rodzajowi, zarysowali środowisko. Pokazano nam znieczulicę, która zawiera się w samej istocie biurokracji. W biurokracji, a nazbyt często to obserwujemy, zanika odpowiedzialność, gdyż biurokracja uniemożliwia i tępi krytykę, nie ma ona poczucia hierarchii spraw, jej działanie skupia się na zgodności papierków z papierkami, to zwornik w jej wizji świata.

„Jesienna nuda" Mikołaja Nie krasowa, mimo komizmu licznych momentów, i dziś wprawia w przerażenie przedstawioną indolencją, „obłomowszczyzną". Reżyser nie był wierny tekstowi, ale klimat utworu przekazał w pełni. Aktorsko rzecz wypadła świetnie!

Zupełnie przypadkowo wysłuchałem audycji z cyklu „Czy państwo lubią matematykę?" Nie to, że jej nie lubię, ale nie mam do tego przedmiotu żadnych dyspozycji. Audycja dotyczyła teorii gier, ale... nie hazardowych. Prof. Greniewski i dr Kofler wypadli znakomicie, ich wywody trafiały i do zupełnie nieprzygotowanych, aczkolwiek bardzo upraszczały życiowy aspekt zagadnienia. Scenki, ilustrujące te wywody, były na lepszym poziomie niż czasem kabaretowe.

Może dlatego mniej mi się podobał program z Tych, z okazji Kongresu Techników Polskich — „Przy sobocie po robocie". Zrobiony z rozmachem, przypominał program barburkowy, ale mniej było polotu, dobrej piosenki i dowcipu. Na żywsze przyjęcie zasługiwały parodie, zwłaszcza naśladowanie Dymszy!

W programie „Bez apelacji" poruszono sprawę wsi podhalańskiej, która, wbrew swoim pięknym i szlachetnym tradycjom, jakoby się zdemobilizowała na terenie pracy społeczno-organizacyjnej. Ale... ten garaż, który zaplanowano i zbudowano bez większego sensu, ta wiklina zamiast smorodiny, czyli czarnej porzeczki; sklep, którego budowa trwała rok, a remont trzy lata; ci traktorzyści, którzy nie umieli pracować, każą wiele usprawiedliwić. Zresztą, ciekawi jesteśmy osądu, opinii. Ja się chłopom ze wsi Wysoka nie dziwię. Oni są za bardzo rzeczowi, by mieć miejską wyrozumiałość dla marnotrawstwa i cholernej mitręgi.

Zwracam uwagę rodziców, których dzieci uczęszczają do siódmej klasy, na cykliczną audycję informacyjną o wyborze zawodu: „Co dalej, siódma klaso?"

Jan Huszczo

PS. Nie mogę pominąć milczeniem notatki z „Dziennika Łódzkiego" z 1. II. 66 (dziękuję za wycinek) pt. „Świąteczny wypoczynek i... oziminy". Skarży się obywatelka z gromady Smardzew, iż niedzielni wczasowicze z Łodzi niszczą jej oziminy i młody lasek. „Dziennik" bierze ją w obronę, pisząc:

P. Kozłowska świadczy obowiązkowe dostawy, z których musi się wywiązać. Straty, jakie wynikają ze zniszczenia zasiewów, uniemożliwiają jej to wywiązanie się z obowiązków.

A gdyby nie chodziło o dostawy obowiązkowe, proszę sympatycznego „Dziennika", to co: można deptać? Można niszczyć oziminy i drzewka? J. H.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Jeśli już muszkieterowie, to zawsze wiadomo, że trzej. Ktokolwiek więc słyszy lub czyta o czeskim filmie „DWAJ MUSZKIETEROWIE", jest pewny początkowo, iż ma do czynienia z omyłką w tytule. Tymczasem nie — ów moment zaskoczenia jest celowy i wielce znaczący. Para głównych bohaterów Karela Zemana stanowi bowiem jaskrawe zaprzeczenie cnót, jakie przypadły w udziale walecznym bohaterom Dumasa. Żołnierzami zostali mimo woli, wbrew sobie. Petr przy każdej nadarzającej się okazji usiłuje uwolnić się od atrybutów żołnierza i związanych z nimi obowiązków. Maciej jest na swój sposób zadowolony z wojny. Tym bardziej, im więcej łupów wojennych może wynieść z pola bitwy. Ale jednemu i drugiemu wojaczka ani w głowie. Maciej wieloma cechami przypomina naszego Zagłobę: tchórz z niego, co się patrzy, chełpliwy niezmiernie, rubaszny, zawsze pełen humoru, wielki amator jedzenia i picia, dla płci nadobnej serce zawsze ma czułe, trudności życiowe pokonuje sprytem i — jak Zagłoba, fortelami. Petr — łagodny z natury, kochliwy, sentymentalny, marzy o domowym zaciszu, o kwiatkach, ptaszkach i o tej jedynej — wyśnionej. Zły los uwikłał jednak jednego i drugiego w potyczki wojny 30-letniej i ci żołnierze z przymusu walczą nie wiedząc po co i dlaczego, traktując wojnę jako największy z bożych dopustów. Każda z zaangażowanych stron jest im jednakowo obojętna, nie są ani trochę zainteresowani w zwycięstwie którejkolwiek. Ale absurdalny jest nie tylko udział w wojnie naszych dwóch „muszkieterów". Niedorzeczna jest cała ta wojna, której koleje zmienne są tak bardzo i przechylając szalę zwycięstwa to na królewską, to na cesarską stronę, wyniszczają straszliwie ludzi i skarb obydwu. Pomimo, że film Zemana posiada wyraźny adres historyczny, może odnosić się z powodzeniem do wydarzeń odmiennych czasem i położeniem na mapie świata. Jest to bowiem groteska historyczna, której celem naczelnym jest ukazanie absurdalności wojny jako takiej, niezależnie od tego, w jakim celu, z jakich powodów i między jakimi przeciwnikami jest prowadzona. Groteskowość sytuacji i postaci spotęgowana jest niesłychanie przez bardzo specyficzną formę filmu, jednoczącą na zasadzie równouprawnienia świat ludzi i rysunków. W ten sposób ożywają nagle i biorą udział w akcji stare sztychy historyczne, walczą ze sobą nie tylko żołnierze, ale i godła. Te dwa światy: ludzi i rysunków, współistnieją obok siebie i kontaktują się ze sobą. Petr ugodzony przez rysunkowego Amora pokazuje mu, że dość już strzał, a Maciej wypiwszy jednym haustem olbrzymią butelkę wódki, rzuca pustą w twarz srogiemu Marsowi, który rozpryskuje się z trzaskiem i przemienia w słońce. Dzięki owemu współistnieniu świat otrzymuje nowy wymiar: na pół realny, na pół fantastyczny. Zeman świadomie (i konsekwentnie!) nawiązuje w tym do Meliesa (sam podkreślał to w swoich wypowiedziach). Czyni to jednak w odmiennym celu. Melies tworzy świat baśni, niezwykłych przygód, tylko po to, żeby szokować widza. U Zemana ta sama metoda twórcza służy założeniom światopoglądowym, wyraża zarazem krytykę i pobłażliwość, zrozumienie spraw ludzkich i dystans wobec nich. W kapitalnym humorze filmu jest równocześnie coś z mądrości i zadumy błazna. Nic dziwnego — film ma formę kroniki spisywanej przez błazna, a w czeskim oryginale tytuł brzmiał właśnie „Blaznova kronika".

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Szwedzki film „KOCHAĆ" nie odbędzie zwykłej wędrówki po naszych ekranach. Został zakupiony jedynie dla kin studyjnych i dyskusyjnych klubów filmowych. Partnerem znanej z filmów Bergmana, Harriet Anderson, jest w nim Zbigniew Cybulski. I jeśli „Kochać" jest filmem interesującym, to właśnie ze względu na ową parę aktorską. Cybulski schodzi tu zresztą wyraźnie na plan drugi. Gwiazdą pierwszej wielkości jest Harriet Anderson, która otrzymała za tę rolę nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji w 1964 roku. „Kochać" jest komedią filmową poświęconą w całości problemom erotycznym. W ujęciu tych spraw reżyser Jörn Donner przeciwstawia się tradycji filmu szwedzkiego z Bergmanem na czele. Daleki jest od mistycyzmu, obce są mu skłonności metafizyczne. Ten film tkwi od początku do końca na ziemi; złośliwi dodają nie bez racji — w łóżku. Kobieta jest w nim po prostu partnerem, a nie owa osławiona femme fatale tak charakterystyczna dla tradycyjnej skandynawskiej kinematografii. Miłość, którą oglądamy, jest uczuciem dojrzałym, zmysłowym, zaawansowanym. Nie ma w nim siły niszczycielskiej. Przeciwnie — stanowi możność odrodzenia i wyzwolenia człowieka. „Kochać" Donnera to film optymistyczny — mówi o szczęściu erotycznym. Odważnie i taktownie. Po prostu i bez uprzedzeń.

MARIA[illegible]EL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

UMARŁ CZŁOWIEK, KTÓREMU NIE WOLNO BYŁO ŚMIAĆ SIĘ

■ W Hollywood zmarł w wieku lat 70 jeden z najsławniejszych komików filmu niemego, Joseph Francis Keaton — znany jako Buster Keaton. Pozostawił żonę oraz

Buster Keaton

dwóch synów z małżeństwa z aktorką Natalią Talmadż. Rozwiedziony z nią, ożenił się w roku 1940 z tancerką Eleanor Norris, która była mu wierną towarzyszką życia aż do chwili jego śmierci. Genialny komik nigdy się nie śmiał. Nie wolno my było śmiać się. Ani w filmie, ani w życiu. Taki był warunek zatrudniających go producentów filmowych.

Keaton urodził się w rodzinie cyrkowców, w małym miasteczku Pick way (w stanie Kansas w Stanach Zjednoczonych). Przyszły komik, debiutu je na scenie mając lat niespełna cztery. Gra wtedy z matką i ojcem w komedii, znanej potem pod nazwą „Trójka Keatonów". W środowisku cyrkowców i artystów musicalów, Keaton już od wczesnego dzieciństwa rozwija swe talenty śpiewaka, tancerza i akrobaty.

Ma lat dwadzieścia jeden, gdy gra już w filmach. Po pierwszej wojnie światowej, podczas której służył w piechocie, Keaton wraca do pracy aktorskiej. Powstaje wtedy wiele filmów, z których kilka weszło na trwałe do historii światowej kinematografii. „Kapitan", „Prawo gościnności", „Sherlock Junior" do dziś uważane są za dzieła nieprześcignione.

W latach dwudziestych naszego stulecia sława Keatona nie ustępuje w niczym sławie Chaplina. Zarabia miliony. Rozśmiesza tysiące ludzi swą twarzą, nieruchomą, bez mimiki, bez jednego uśmiechu. Dla każdego filmu opracowuje staran nie „gagi", z których potem do łez zaśmiewa się publiczność.

Finansowy krach w Stanach Zjednoczonych w 1929 roku jest ciosem i dla Keatona. Staje się człowiekiem zrujnowanym. Wprowadzenie na ekrany filmów dźwiękowych jest dla „niemego komika" ostateczną klęską. Gdy Keaton próbuje mówić, jego twarz ożywa i nie śmieszy już ludzi. Buster Keaton wraca do cyrku. Nie osiągając większych sukcesów występuje jako akrobata, aktor w scenkach mimicznych, jeździ po jarmarkach z przedstawieniami, raz za grosze wynajmuje się do jakiejś małej roli w filmie. Coraz mniej, potem wcale nie mówi się już o Keatonie.

Lata 1951 i 1952 przynoszą mu polepszenie sytuacji. Gra epizodyczne role w filmach, następnie Chaplin proponuje mu rolę współpartnera w swym filmie „Limelight" (Światła rampy). Ale Chaplin wyjeżdża wkrótce z Ameryki. Keaton pojawi się jeszcze w tym czy innym filmie, zaproszą go do telewizji, jest już jednak za stary, aby na nowo rozpoczynać karierę. I jako główny aktor wystąpi jeszcze raz, już ostatni, w „Filmie", krótkometrażówce reżysera Alana Schneidera i pisarza Samuela Becketta. Treścią „Filmu" jest tragiczna samotność starego człowieka, któremu nic nie zostało prócz wspomnień.

U nas ostatnio wyświetlanym filmem z Keatonem był „Generał".

FESTIWAL NIEZWYKŁYCH FOTOGRAFII

■ Na Międzynarodowy Festiwal Niezwykłych Fotografii, odbywający się w Cannes, nadesłano z całego świata ponad 3.500 prac. Wybrano z tej ilości 400 fotografii, czarno-białych i kolorowych, a jury obradujące pod przewodnictwem sławnego fotografika Brassai, wyróżniło 25 fotogramów. Pojęcie „fotografii niezwykłej" rozumiane było dość szeroko. Obejmowało ono prace o tematach niecodziennym, zaskakującym czy dziwnym oraz fotografie będące „niezwykłymi" jedynie dzięki odpowiedniej obróbce laboratoryjnej.

OBRAZ RUBENSA NA NOWO ODKRYTY

■ Przez blisko pięćdziesiąt lat nikt nie wiedział, co się stało z jednym z najpiękniejszych obrazów Rubensa „Daniel w jaskini lwa". Tym czasem obraz wisiał sobie spokojnie w pokoju konferencyjnym jednego z angielskich finansistów. Płótno ma rozmiar 2,10 m na 3 m. Rubens namalował „Daniela" w roku 1615. Brytyjski ambasador w Hadze ofiarował w roku 1639 obraz swemu królowi Karolowi I. Na skutek politycznego przewrotu król został uwięziony, a następnie stracony. Obraz Rubensa wszedł w posiadanie arystokratycznego rodu Hamiltonów. Ci zaś w roku 1919 sprzedali dzieło pierwszemu lordowi Cowdray za 5.250 funtów.

W roku 1963 spadkobiercy Cowdraya odprzedali obraz za 500 funtów, w przekonaniu, że jest to tylko kopia i to nie najlepsza.

Obecnie płótno zidentyfikowano jako oryginalny obraz pędzla Rubensa. „Daniela w jaskini lwa" zakupiła Waszyngtońska Galeria Narodowa.

CZY UKAŻE SIĘ KSIĄŻKA PT. „PAPA HEMINGWAY"?

■ Mary Hemingway, wdowa po słynnym pisarzu i spadkobierczyni jego majątku i praw autorskich, zwróciła się do sądu nowojorskiego o nakaz prawny zabraniający wydawnictwu Random House wydania książki pt. „Papa Hemingway". Autorem jej jest A. E. Hotchner, który przez ostatnie 14 lat życia wielkiego pisarza był jego serdecznym przyjacielem. Książka Hotchnera zawierać ma podobno oryginalne nie drukowane teksty Hemingwaya, a prawo do ich publikacji ma wyłącznie wdowa po pisarzu.

Hotchner, który z autorem „Komu bije dzwon" spędził wiele lat i był z nim na Kubie, w Hiszpanii i Ameryce, pisze w swej książce, że Hemingway w ostatnich latach przed śmiercią kilkakrotnie próbował odebrać sobie życie. Pewnego razu chciał wyskoczyć z samolotu, kiedy indziej usiłował wbiec pod obracające się śmigło. Tak więc śmierć wielkiego pisarza w dniu 2 lipca 1961 roku — oświadcza Hotchner — nie była nieszczęśliwym wypadkiem, ale samobójstwem.

A. E. Hotchner chce podobno w swej książce zrelacjonować rozmowy jakie prowadził z nim pisarz i to na najróżniejsze tematy, jak np. wspomnienia Hemingwaya o swej młodości, zwierzenia na temat bliskich mu kobiet itp.

Mary Hemingway twierdzi w swej skardze do sądu, że opublikowanie tego rodzaju książki mogłoby wywołać niezdrową sensację wokół życia i dzieł zmarłego pisarza, a ponadto publikowanie rozmów, jakie prowadził Hemingway z Hotchnerem, byłoby naruszeniem zaufania jakim wielki pisarz darzył przez wiele lat swego przyjaciela. Wiadomo także, że Hemingway wypowiadał się wielokrotnie przeciw drukowaniu jego biografii przed upływem stu lat od swej śmierci.

FATALNY DZIEŃ W OPERZE KOMICZNEJ

■ W dniu 31 stycznia, w chwili gdy miała się unieść kurtyna w paryskiej Opéra-Comique przed przedstawieniem operowym „Opowieści Hoffmanna", poproszono publiczność o zachowanie minuty milczenia dla uczczenia pamięci zmarłego w dniu poprzednim barytona Giovanettiego.

Na kilka godzin przed rozpoczęciem spektaklu zawiadomiono dyrekcję Opery, że śpiewaczka Hélia T'Hézan nie może wystąpić na scenie, gdyż na wieść o nagłym zgonie Giovanettiego, rozchorowała się nerwowo. Dyrektor Opery, biegnąc do telefonu, aby sprowadzić zastępczynię, uderzył głową o dekorację, tracąc na kilka minut przytomność.

Śpiewak Aleksander Mazotta, zastępujący zmarłego barytona, grając rolę Hoffmanna, w chwili gdy kończył arię omal nie wpadł przez uchylone drzwi do maszynowni. Potłukł się jednak dotkliwie. Mazotta dokończył arię, choć słaniał się z bólu. Publiczność nie domyślała się niczego, ponieważ Hoffmann w tym właśnie momencie miał być kompletnie pijany i zamroczenie śpiewaka bólem i jego słanianie się na nogach wzięto za świetną grę aktora. Mazotta po opadnięciu kurtyny, trzykrotnie wywoływany przez publiczność, trzykrotnie się pojawiał, po czym natychmiast został odwieziony do szpitala, gdzie czeka go trzymiesięczna kuracja. Powiedział w szpitalu: „Mówiłem publiczności, że wstałem z noszy, ale wzięto to za żart".

JAMES JOYCE I SPRAWA „ULISSESA"

■ Dwadzieścia pięć lat temu, w dniu 13 stycznia zmarł w Szwajcarii poeta i powieściopisarz irlandzki, piszący po angielsku, James Joyce. Wywarł on wpływ na literaturę i to — jak twierdzą niektórzy — wpływ zasadniczy i przełomowy.

Do Zurychu Joyce przyjechał pierwszy raz w 1904 roku. Ot tej pory bywał tu często, ale na stałe osiedlił się dopiero w roku 1915. Życie w Szwajcarii nie było dla pisarza usłane różami. Cierpi biedę, zagrożony jest utratą wzroku. „Ulisses" Joyce'a, dzieło, które potem cieszy się ogromnym rozgłosem, ukazuje się wówczas po „oczyszczeniu" z niektórych epizodów, w małym amerykańskim czasopiśmie „Little Review". Ale wkrótce cenzura wstrzymuje dalszy druk „Ulissesa" najprawdopodobniej uznając, że jest zbyt drastyczny w opisach.

Wszystko to nie miało, zdaje się, większego znaczenia dla pisarza. Tworzy dalej mimo nędzy, samotności i opuszczenia, żyjąc w wiecznym lęku o swój zagrożony wzrok. Naprawdę i do głębi poruszył poetę dopiero grotesk owy, a zarazem obelżywy dla Joyce'a proces o spodnie. I nie trudności życiowe, nie choroba i opuszczenie znalazły swój oddźwięk w „Ulissesie", ale właśnie proces o jedną parę spodni.

W roku 1918 James Joyce brał udział w organizowaniu w Zurychu grupy teatralnej, która miała grać sztuki dramaturgów irlandzkich i angielskich. Teatr zaczął działalność wystawieniem dramatu Oscara Wilde'a „The Importance of Being Earnest". Jako jeden z głównych aktorów wystąpił na scenie Henry Carr, urzędnik brytyjskiego konsulatu. Carr pokłócił się z Joyce'em, który prowadził sprawy finansowe teatru, o wysokość zwrotu kosztów za spodnie. Aktor twierdził, że na spektakl sprawił sobie specjalnie spodnie i żądał za nie ekwiwalentu pieniężnego. Ze sporu wynikł proces, w którym na rzecz konsularnego urzędnika interweniowali jego koledzy z konsulatu, sam konsul w Zurychu, a nawet sam brytyjski ambasador w Bernie.

Na wrogach zemścił się Joyce unieśmiertelniając ich w swoisty sposób w pisanym przez siebie dziele, a wówczas właśnie kończył ostateczne opracowywanie i sporządzał czystopis trzech pierwszych rozdziałów „Ulissesa". I tak awanturniczy i wiecznie szukający zwady żołnierz w „Ulissesie" nazywa się Carr, nazwisko konsula nosi bokser, a identycznie jak ówczesny ambasador brytyjski w Bernie nazywa się... kat.

Joyce umiera w Zurychu w roku 1941, w wieku lat 59. Polskiemu czytelnikowi James Joyce znany jest głównie z powieści „Portret artysty z czasów młodości" oraz z obszernego fragmentu „Ulissesa" drukowanego w „Dialogu", z grudnia 1964 roku, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Instytut matrymonialny w Brooks w Nowym Jorku prosi swoją klientelę o nadsyłanie — prócz podstawowych informacji osobistych — rentgenowskiego zdjęcia szkieletu. Motywacja: „Ciało ulega większym zmianom niż kości. Lepiej opierać małżeństwo na trwałych podstawach".

W związku z powyższą, niewątpliwie słuszną tezą nowo wybrany Zarząd ZLP w Łodzi poddał się małemu i niebolesnemu zabiegowi. Rentgenogramy wykazały zgodność horoskopów opartych na humanistycznych przesłankach z anatomią i fizjologią: zbiorowy szkielet okazał się prosty: ukonstytuował się.

WTOREK

Stała wystawa obrazująca życie i twórczość Juliana Tuwima została otwarta w gmachu Pałacu Młodzieży im. J. Tuwima, Moniuszki 4a.

Tuwim kochał Łódź i poświęcił jej wiele pięknych strof. Tu urodził się, chodził do szkoły i zaczął pisać. Dobrze, że właśnie młodzieży patronuje wielki poeta. Dobrze, że młodzież zżywa się z twórczością swego patrona. Ilustracje dzieci i młodzieży do wierszy Tuwima są eksponowane w Galerii Plastyki Dzieci i Młodzieży PM. Klub fotograficzny opracował specjalny album zdjęć obrazujący związki poety ze swoim miastem. Zespół teatralny PM przygotował widowisko pt. „Szaleństwo młodego Julka" Ireny Prusickiej. W Klubie „Hobbystów" można obejrzeć grafiki do wierszy J. Tuwima oraz pierwszy numer „Ilustrowanego magazynu — Kolekcjoner": Oto: Młodzież Swemu Poecie.

ŚRODA

Operetka to nie mój żywioł. Zawsze miałem trudności z tańcem i pięknym gestem. Głos owszem, był ongiś, nim doszło się do wniosku, że wszystkiego nie można wyśpiewać. Ale jest coś w operetce, co ma czar starych walców i pierwszej miłości. Później była opera, aż wreszcie dramat.

Autor „Sewastopolskiego walca" kompozytor K. Listow przyjechał, by obejrzeć swój utwór w Łódzkiej Operetce. „Cały zespół sprawił mi dużą satysfakcję" — mówił K. Listow na konferencji prasowej w Łodzi. W sobotę premiera. Jest nadzieja, że spektakl nie zawiedzie publiczności, skoro sam kompozytor wyraził zespołowi uznanie.

CZWARTEK

Warto, idąc ulicą A. Struga, wstąpić do Salonu Fotografii Artystycznej. Pomysłowość ujęć, technika, różnorodność i oryginalność tematu oto główne walory wielu ekspozycji. Ostatnio mieliśmy okazję obejrzeć wystawę Krakowskiego Tow. Fotograficznego i retrospektywną wystawę E. Hanemana. Aktualnie wystawa Demeter Balla — Węgry.

Dobrze jest wpaść na chwilę, rozejrzeć się, przystanąć i pomyśleć, ile to stron, świateł, cieni, wyrazu i tajemnic ma nasz kochany, stary świat. A inne?

PIĄTEK

No właśnie. Wystawa Plakatu Japońskiego w CBWA.

Różnorodny i funkcjonalny to plakat. Nie zapominajmy bowiem, że plakat służy przede wszystkim reklamie, a jego walor artystyczny winien być podporządkowany wynikającym stąd założeniom.

Japończycy pokazali eksponaty oparte o tradycyjne i narodowe motywy oraz inne wyraźnie korelujące ku amerykańskim wzorom.

Znakomita poligrafia odgłana w ręce artystyczne stwarza mu ogromne możliwości techniczne i swobodę kompozycyjną. Wystawa może być przykładem takiego konstruktywnego sprzężenia.

SOBOTA

Ukazał się na rynku księgarskim „Mały słownik psychologiczny".

Ilu ludzi tyle odmiennych osobowości. Nie ma dwóch identycznych osobników; nawet bliźniaki jednojajowe. Tylko pobieżne rozeznanie w tym gąszczu nastręcza duże trudności, a co dopiero szczegółowsza analiza. Jeżeli jednak udało się nam kogoś „rozgryźć", wiemy „kto zacz"; a nie potrafimy znaleźć odpowiedniego terminu dla sylwetki psychofizycznej czy zgoła psychicznej, to zwyczajnie sięgamy do słownika psychologicznego. Na przykład: ktoś przeżywa uczucia niezgodne z sytuacją, radość po otrzymaniu przykrych wiadomości, smutek po awansie, spadku lub coś podobnego. Nazywa się to: paratymia. Jasne?

Albo ktoś kieruje się w postępowaniu dobrem (korzyścią) innych zamiast własnym. Nazywa się to...? Proszę zgadywać. Łatwe, łatwiuśkie, powszechne. Noo? Altruizm; altruizm; kochani i drodzy Czytelnicy.

NIEDZIELA

Młodzi mężczyźni nie zdają sobie sprawy, w jakim szczęściu żyją. Wystarczy parę słów krótkich powiedzieć, pójść z dziewczyną do kina, kawiarni, na spacer i już można się ożenić. Tak u nas, ale gdzie indziej? Powiedzmy w Maroku. Tam nie tylko słodkie słówka, ciasteczko i bilet za osiem złotych. O nie! W Maroku trzeba na targ małżeński. Patrzą dziewczyny jak stoisz w kąpielówkach, bielutki i bezradny z wątłymi flaczkami zamiast mięśni (pijesz wódę zamiast uprawiać sport!). Stoisz a one tarzają się ze śmiechu. Zaraz będziesz walczył, ale z czym do gościa? Dziewczyny typują swoich wybrańców. Wybrańcami są „dzielni chłopcy, którzy nie znają „Deotymy", „Misia" i „fajek", lecz męską walkę (intelektualną i sportową, a nie pięściu na jednego w ciemnej ulicy). Więc dziewczęta, wy też możecie typować, choć nie jesteście Marokankami.

Ł. Łabuda

POLONICA

SZWAJCAR O JANIE PARANDOWSKIM

Walter Weideli, młody dramatopisarz szwajcarski wielkiego talentu, autor telewizyjnej sztuki „Afera na Chelsea-Street" i głośnych dramatów pt. „Kariera w Chicago" oraz „Bankier bez twarzy", jest także redaktorem działu literackiego „Journal de Geneve". Weideli, który dwukrotnie odwiedził nasz kraj, stał się entuzjastą Polski, jej literatury i teatru. W dziale literackim „Journal de Geneve" ukazało się wiele portretów polskich pisarzy oraz przekładów ich utworów na język francuski (np. Szaniawskiego, Dąbrowskiej, Brandysa, Putramenta, Iwaszkiewicza, Parandowskiego).

Pismo to zamieściło w numerze z 8—9 stycznia, entuzjastyczną wzmiankę o albumie Jana i Zbigniewa Parandowskich „Grecja". Czytamy tu: „Jan Parandowski, wielki pisarz polski, z którego nowelą pt. „Figliuolo" mogli się zapoznać nasi czytelnicy w numerze z 31 grudnia, opublikował w Warszawie wspaniały album poświęcony Grecji, zarówno współczesnej, jak i dawnej. Około 200 fotografii, którymi ten album zaopatrzono, jest dziełem jego syna, Zbigniewa Parandowskiego. Twarze, podchwycone na współczesnej ulicy, subtelnie harmonizują z nastrojem starożytnych budowli. Ten „dialog" ilustruje, ze świeżym ciepłem, wartości owego humanizmu, którym Jan Parandowski nieustannie obdarzał młode generacje polskie. Sukces albumu „Grecja" jest zresztą niezwykły. Szybko po ukazaniu się, w wydawnictwie „Sport i turystyka", wyczerpane zostały dwie edycje, po 10.000 egzemplarzy. Dzieło zostało zaopatrzone w krótkie przekłady na języki: niemiecki, angielski i francuski. Ten ostatni, który zawdzięczamy Jerzemu Lisowskiemu, jest doskonały.

TRIUMF POLSKIEJ GRAFIKI

W stolicy NRD, Berlinie, ukazał się tom wierszy Armina Müllera pt. „Reise nach S." (Podróż do S.). W tomie znajduje się kilka wierszy — poloniców jak np. „Polski pomnik", „Świdnica", „Wrocław Cafe'Monopol" i wiersz o Panu Twardowskim. Co jednak zwróciło naszą uwagę przede wszystkim to liczne reprodukcje polskiej grafiki w tym tomiku. Znajdują się tam, m. in. reprodukcje Tadeusza Kulisiewicza, Bronisława Linkego, Józefa Gielniaka, Mieczysława Lejmana i wielu innych. Dodajmy, że tomik wydany jest bardzo starannie i aż żal, że my nie możemy sobie pozwolić na tak ozdobne wydania zbiorów wierszy".

„SÓL ZIEMI"

W dwutygodniku „Die Welt der Literatur" (z 20 stycznia br.) w stałej rubryce „Przypominamy stare książki", Peter Härtling w obszernym artykule pisze o znanej powieści Józefa Wittlina „Sól ziemi". Ta niewątpliwie najlepsza powieść polska o pierwszej wojnie światowej, ukazała się w emigracyjnym wydawnictwie niemieckim w Amsterdamie w 1937 roku w przekładzie dr J. Bermana i ze słowem wstępnym Józefa Rotha. Peter Härtling nie szczędzi pochwał „Soli ziemi" i wyraża zdziwienie, dlaczego powieść Wittlina nie została wznowiona w Niemczech po wojnie. Jednocześnie autor artykułu ubolewa nad tym, że Wittlin nie napisał zapowiedzianych dalszych dwu tomów epopei „o cierpliwym przecherze".

RAY BRADBURY

KAŻDY MA SWOJĄ DROGĘ DO ŚMIERCI

Przy pierwszym uderzeniu rakieta otworzyła się z boku, jakby ją ktoś rozpruł olbrzymim nożem do otwierania konserw. Ludzie wyrzuceni w pustkę krecili się, jak dziesięć srebrzystych rybek. Znaleźli się w morzu ciemności, a statek, zupełnie rozbity, kontynuował swoją podróż — milion odłamków, ławica meteorytów podążająca na poszukiwanie bezpowrotnie utraconego słońca.

— Barclay, gdzie jesteś, Barclay?

Głosy nawoływały się, jak dzieci, które zbładziły w mroźną zimową noc.

— Wood, Wood!

— Kapitanie!

— Stone, to ja — Hallis! Gdzie jesteś?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Gdzie góra, a gdzie dół? Ja spadam. Boże miłosierny, ja spadam!

I spadali jak kamienie rzucone do studni. Wydawało się, że zostali wystrzeleni z olbrzymiej katapulty. To już nie byli ludzie, to były tylko głosy — różne głosy, drżące, pełne strachu albo pokory.

— Rozlatujemy się w różne strony!

To była prawda i Hallis otępiały z przerażenia zmuszony był pogodzić się ze swoim losem. Rozstają się, każdy ma swoją drogę i już nigdy nie będą razem. Wszyscy są w hermetycznych skafandrach, blade twarze przykrywają przezroczyste hełmy, ale nikt nie zdążył wziąć z sobą silnika. Z silnikiem przyczepionym u ramion każdy byłby mała szalupą ratunkową, mógłby pomóc sobie i innym. A teraz są tylko meteorami, ziarnami piasku i każdy bezmyślnie leci na spotkanie swojego losu.

Minęło już chyba dziesięć minut, nim minął pierwszy atak strachu i nastąpiła chwila dretwego spokoju. Pustka — wielki warsztat tkacki — zaczęła tkać swoje nici, głosy łączyły się i rozłączały, krzyżowały się, tworząc ostateczny deseń.

— Hallis, tu mówi Stone! Jak długo będziemy mogli jeszcze rozmawiać przez radio?

— To zależy od tego z jaką szybkością ty lecisz w swoją stronę, a ja w swoją.

— Wydaje mi się, że jeszcze godzinę.

— Chyba godzinę — obojętnie odpowiedział Hallis.

— Powiedz prawdę, co się stało? — spytał po chwili.

— Nasza rakieta eksplodowała, to wszystko. Tak czasem bywa.

— W którą stronę lecisz?

— Prawdopodobnie wyrżnę w Księżyc.

— A ja — w Ziemię. Wracam do matki Ziemi z szybkością dziesięć tysięcy mil na godzinę. Spalę się jak zapałka. — Hallis pomyślał o tym z przerażającym spokojem. Niczym odłączony od własnego ciała patrzył jak ono spada, spada w pustce, patrzył obojętnie z boku jak kiedyś, bardzo dawno, zimą — na pierwsze spadające płatki śniegu.

* * *

I nagle jakby dopiero teraz uświadomili sobie całą tragedię swojej sytuacji, dwóch mężczyzn spadających w przestrzeń zaczęło przeraźliwie krzyczeć. Jak w koszmarnym śnie Hallis zobaczył: jeden z nich przepływa zupełnie blisko i krzyczy, krzyczy..

— Przestań!

Wydawało się, że do tego człowieka, wydającego z siebie nieludzkie dźwięki, można sięgnąć ręką. Wycie to będzie słyszane w promieniu milionów mil, jak daleko dochodzą fale radiowe, i każdy poczuje ciężar przygnębienia i nie będzie można rozmawiać z towarzyszami niedoli.

Hallis wyciągnął ręce. Tak będzie lepiej. Jeszcze jeden wysiłek i już dotyka krzyczącego. A ten ryczy, czepia się go jak tonący. Dziki wrzask wypełnia wszechświat. Wszystko jedno, zabije go Księżyc albo Ziemia, myśli Hallis. Albo meteoryty i chyba lepiej jeżeli teraz.

Żelazną pięścią uderzył w przezroczysty hełm oszalałego. Krzyk umilkł. Hallis odpycha się od trupa, a ten kręcąc się odlatuje i spada...

— Hallis, jeszcze jesteś tutaj?

Hallis nie odpowiada, ale twarz czerwienieje mu ze złości.

— Ta ja, Epgleit.

— Słyszę.

— Pogadajmy. I tak nie ma co robić.

Przerywa mu kapitan:

— Lepiej zastanówmy się, co robić dalej.

— A może pan się zamknie, kapitanie?

— Co-o?

— To co powiedziałem, panie kapitanie. I niech mnie pan nie straszy swoim stopniem i stanowiskiem. Dzieli nas dziesięć tysięcy mil i niech się pan już więcej nie wygłupia.

— Słuchajcie, Epgleit!

— Odczep się. Nie będę słuchał rozkazów. Do diabła, już nic nie mam do stracenia. Twój statek był tyle samo wart, co i ty, i dlatego życzę ci, żebyś wyrżnął w Księżyc i złamał sobie kark.

— Milczeć!

— Mam w nosie twoje rozkazy — zaśmiał się Epgleit. Kapitan milczał. — O czym myśmy mówili, Hallis? — ciągnął dalej Epgleit. — Aha, pamiętam. Ciebie też nienawidzę. Doskonale o tym wiesz. Od dawna.

Hallis zacisnął pięści.

— Zaraz ci coś opowiem. To ja ci przeszkodziłem pięć lat temu, kiedy starałeś się o miejsce w Rakietowej Kompanii.

Obok zabłyszczał meteor. Hallis zamknął oczy. Lewą dłoń obcięło mu jak nożem. Leje się krew. Ze skafandra wyleciało powietrze. Wstrzymując oddech, prawą ręką zacisnął pasek na lewej powyżej łokcia. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążył się zdziwić. Krew była zatamowana i skafander znowu wypełnił się powietrzem.

W ciągu tych strasznych chwil z ust jego nie wydobył się ani jeden dźwięk. A inni cały czas rozmawiali. A jeden z nich, Lespear, gadał bez przerwy: na Marsie pozostała jego żona, na Wenus druga żona, a na Jupiterze, trzecia, pieniądze się nie marnują, bo spędzał czas jak należy — pił, grał, żył tylko dla siebie. Wszyscy spadali, a on mówił i mówił. Spadał na spotkanie śmierci i oddawał się wspomnieniom o byłych dniach szczęścia..

* * *

— Złościsz się, Hallis?

— Nie.

I rzeczywiście, wcale nie był zły. Znowu zawładnęła nim obojętność i czuł się jak kamień skazany na wieczne spadanie w nicość.

— Całe życie starałeś się coś zdobyć, Hallis. I nie rozumiałeś dlaczego nic ci się nie udaje. To ja wciągnąłem cię na czarną listę, nim mnie zdołano wyrzucić za drzwi.

— To już nie ma znaczenia — powiedział Hallis.

Życie było już za nim i spoglądając wstecz żałował tylko jednego — chciało mu się żyć i żyć. Czy każdy czuje się tak samo przed śmiercią — człowiek umiera, a wydaje mu się jakby jeszcze zupełnie nie żył? Czy życie naprawdę jest takie krótkie — nie zdążysz westchnąć i już koniec.

A Lespear wciąż powtarzał:

— No cóż, pożyłem jak trzeba: jedna żona na Marsie, na Wenerze druga... Wszystkie miały pieniądze i dbały o mnie. Piłem ile chciałem, a raz nawet przegrałem w karty dwadzieścia tysięcy dolarów.

— A teraz wpadłeś jak i my wszyscy. Skończyło się. Teraz jest tak jakby przedtem niczego nie było, prawda? — spytał Hallis.

— Nie.

— Czym w tej chwili różni się twoje życie od mojego? Czy lepiej się czujesz?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo ja mam co wspominać, a ty nie! — wykrzyknął z oddali Lespear.

I to była prawda. Hallis poczuł się jak oblany lodowatą wodą. Zawsze tylko marzył o tym, co osiągnął, co miał w swoim życiu Lespear.

— Rozumiem, że jest ci teraz przykro, Hallis — oddalający się głos Lespeara był coraz słabszy. — Wcale się na ciebie nie gniewam.

Lespear żył pełnią życia, myślał Hallis. A on już wiele lat był jak martwy. I każdy z nich miał inną drogę do śmierci, a śmierć też nie jest jednakowa dla wszystkich. Bo przecież można dobrze żyć i dobrze umrzeć.

Po chwili odcięło mu prawą stopę. Niewiele brakowało, a zacząłby się śmiać. Tak, pomyślał, zabawna jest śmierć w przestrzeni kosmicznej. Powietrze wyszło ze skafandra i znowu musiał zacisnąć pasek na resztce nogi.

— Ej, Hallis! To ja — Epgleit. Przykro jest tak umierać. Słyszysz mnie?

— Tak.

— Okłamałem cię. Niczym ci nigdy nie szkodziłem. Nie wiem dlaczego przedtem tak powiedziałem. Coś w tobie jest, że człowiek ma ochotę ci podokuczać, nagadać ci różnych nieprzyjemnych rzeczy. Słuchałem twojej rozmowy z Lespearem i głupio mi się zrobiło. A w ogóle to nie ważne, chcę ci tylko powiedzieć, że cię okłamałem. To wszystko. I niech cię wszyscy diabli...

— Dziękuję, Epgleit.

— Przestań. I głowa do góry!

— Hej! — usłyszał głos Stone'a.

Stone to jedyny prawdziwy przyjaciel, pomyślał Hallis.

— Jestem w samym środku roju meteorytów. Te metaliczne odłamki mają przeróżne kolory, kształt i wielkość. Wygląda to jak wielki kalejdoskop. Jakie to piękne! Lecę z nimi. One mnie ciągną. Do diabła...

Zaśmiał się.

Hallis wytężał wzrok, ale niczego nie mógł dojrzeć. To straszne: Stone leci w środku meteorytowego roju w stronę Marsa, leci tak lata całe i co pięć lat zbliża się w stronę Ziemi, mając przy horyzoncie, a potem znowu znika. I tak setki i miliony lat na wieki wieków Stone będzie leciał wraz z rojem meteorytów, tworząc coraz to nowe wzory niczym wielobarwne szkiełka w kalejdoskopie.

— Żegnaj, Hallis! — usłyszał słaby głos Stone'a.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknął Hallis.

— Nie bądź złośliwy — odpowiedział Stone i zaśmiał się.

Głosy wygasły. Każdy leciał swoim szlakiem. Jeden na Marsa, inny znów poza zasięg układu słonecznego. A on, Hallis... Spojrzał w dół. Z całej załogi tylko on wracał na Ziemię. Co robić? Jak naprawić to straszne puste życie? Jutro wieczorem dotrę do pierwszych warstw atmosfery. I spłonę, pomyślał, pozostanie ze mnie popiół unoszący się nad kontynentami. Niby nic, a jednak popiół to też coś, i on połączy się z ziemią.

Hallis spadał jak kula, jak kamyk, spokojny, zupełnie spokojny, nie odczuwając ni smutku ani radości. Miał tylko jedno pragnienie: gdyby mógł zrobić coś dobrego, teraz kiedy wszystko już się skończyło, żeby zrobić coś dobrego i wiedzieć — ja to zrobiłem...

Kiedy dotrę do warstwy powietrza — wybuchnę jak meteor.

— Chciałbym wiedzieć — powiedział głośno — czy ktoś mnie zobaczy?

* * *

Mały chłopiec szedł drogą przez wieś. Uniósł głowę i krzyknął:

— Mamo, popatrz! Spadająca gwiazda!

Ośleniająco czerwona gwiazda przekreśliła niebo i zanurzyła się w zmierzchu nad Illinois.

— Pomyśl o czymś, wtedy się spełni — powiedziała matka. — Wypowiedz swoje życzenie.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

STANISŁAW BRUCZ

Dificile est satiram non scribere

DO M. S.

O, moja Mała Stabilizacjo,
jakże nie klękać przed twoją gracją!

KOLEDZE

Niechaj czuwa nad tobą Opaczność,
kiedy piszesz w postawie „na baczność".

DWIE FAZY

Pierwsza faza, mówiąc po prostu,
to trudności wzrostu:
druga faza, mówiąc najprościej,
to wzrost trudności.

MIKROBALLADA O BOMBIE

Pewnemu gościowi
przywódcy miejscowi
z galickim aplombem
posłali seksbombę...
seksbombę posłali
lecz człon nie odpalił.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ	„Złoto Alaski". 35 seansów	17.888 — 90%
WISŁA	„Niedziela Sprawiedliwości", 18 seansów	3.724 — 50%

TEATR

NOWY	„Lato w Nohant". 3 spektakle	2.100 — 100%
	„Faust". 1 spektakl	400 — 60%
	„Życie Galileusza". 1 spektakl	400 — 60%
	„Dożywocie". 1 spektakl	400 — 60%
	„Alibaba i 40 rozbójników". 2 spektakle	1.400 — 100%
	„Bliźniaki z Wenecji". 1 spektakl	600 — 90%
POWSZECHNY	„Dom otwarty". 4 spektakle	2.672 — 100%
	„Tango". 3 spektakle	2.004 — 100%
	„Niewidzialny książe". 1 spektakl	550 — 82%
JARACZA	„Kolumbowie rocznik 20". 4 spektakle	2.680 — 100%
	„Kto się boi Virginii Woolf". 3 spektakle	2.010 — 100%
7.15	„Kłamczucha". 4 spektakle	1.684 — 100%
OPERETKA	„Piękna Helena". 2 spektakle	1800 — 80%
	„Sewastopolski walc". 2 spektakle	1847 — 82%
OPERA	„Fra Diavolo", 1 spektakl	580 — 90%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	764 słuchaczy 50%
	10 Występów Wicharego i solistów w sali Filharmonii Łódzkiej	700 słuchaczy 100%

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

SKĄD SIĘ TO BIERZE?

Najnowszym porzekadłem w biurokratycznym środowisku urzędników jest zwrot o stawianiu płotków. Sens zwrotu — taki sam jak dawnej, uczonej nazwy „pisma ryglującego" czy też „pisma zaporowego". Urzędnik bowiem pisze list urzędowy nie po to, żeby posunąć do przodu jakąś sprawę, lecz żeby się zabezpieczyć przed możliwymi zarzutami ze strony czynników. Wznosi więc zaporę, stawia płotek, za którym spodziewa się bezpiecznie przekucać wszelkie kontrole i inspekcje.

Pomysł jest na pewno dobry, niestety — nie da się przenieść na szersze regiony życia. Urzędnik zna przepisy i mniej więcej wie, z której strony można go zahaczyć. Natomiast poza ścianami biura czyha na człowieka tyle niewyobrażalnych zupełnie niebezpieczeństw, że już nie tylko płotek, ale i szczelny pancerz od stóp do głów przed ciosami idealnie nie uchroni.

Uważajcież więc, czcigodni a bezbronni obywatele. Uważajcie wchodząc do hotelowego pokoju, czy wszystkie prześcieradła całe, lustro nie stłuczone, popielniczka na właściwym miejscu. Najlepiej od razu w towarzystwie kogoś z miejscowego personelu zróbcie remanent z natury i spiszcie protokół zdawczo-odbiorczy. Inaczej może się wam zdarzyć jak pewnej znajomej pani doktor, że w miesiąc po powrocie z podróży dostaniecie wezwanie na milicję jako podejrzani o wymianę całego prześcieradła na podarte, o stłuczenie lustra i kradzież popielniczki. Spróbujcie dowieść, że to nie wy!

Uważajcie kupując ćwiartkę masła w sklepie samoobsługowym, na przykład przy ulicy Piotrkowskiej blisko Nawrot, czy nie macie przy sobie drugiej ćwiartki, kupionej wcześniej w innym sklepie. Wchodząc do sklepu samoobsługowego zostawcie wierzchnie odzienie i wszelkie torebki przed drzwiami, wywróćcie kieszenie na zewnątrz, podnieście ręce do góry i poproście o wiarygodnego świadka ze spółdzielni pracy „Czujność". Bez tych ostrożności znajdzie się natychmiast podniecona sprzedawczyni, która bijąc się w piersi przysięgnie, że „widziała, jak ta pani brała dwie ćwiartki, a teraz płaci za jedną". Sprzedawczyni nie spoczy się wcale, nie rozchmurzy i nie przeprosi, kiedy okaże się, że jedna ćwiartka pochodzi z mleczarni, która wcale sklepu samoobsługowego, na przykład przy Piotrkowskiej blisko Nawrot, nie zaopatruje. Cóż by było dopiero, gdyby obie ćwiartki... No, spróbujcie coś udowodnić, skoro sama sprzedawczyni widziała!

Nie podejmujcie nigdy żadnych pieniędzy bez poproszenia milicjanta z najbliższego posterunku, żeby wam przy tym akcie patrzył na ręce. Inaczej poważny pan zza okienka może nagle stwierdzić i „udowodnić cyframi", żeście wzięli więcej niż należało, jak to zdarzyło się w pewnej instytucji niżej podpisanemu. Kolega, który stał obok w kolejce, od tamtej pory mi się nie kłania, chociaż poważny pan z okienka w kwadrans później stwierdził, że podjąłem raczej za mało...

Skąd się to bierze, ta absolutna pewność, że po świecie chodzą same złodziejaszki i opryszki, którym folgować nie należy? Z arcysubtelnego instynktu praworządności, z chwalebnej „czujności w walce"?

A może stąd, że tak wielu naszych rodaków, zwłaszcza właśnie tych czujnych, tych co „przecież widzieli", tych co „znają się na takich, proszę pana" — że tak wielu spośród nich niejasno zdaje sobie sprawę z własnych predylekcji do chwytania każdej okazji pod kant, pod skok, pod kombinację, szaberek, boczek, machlojkę? —

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 407/II. 66. E-2